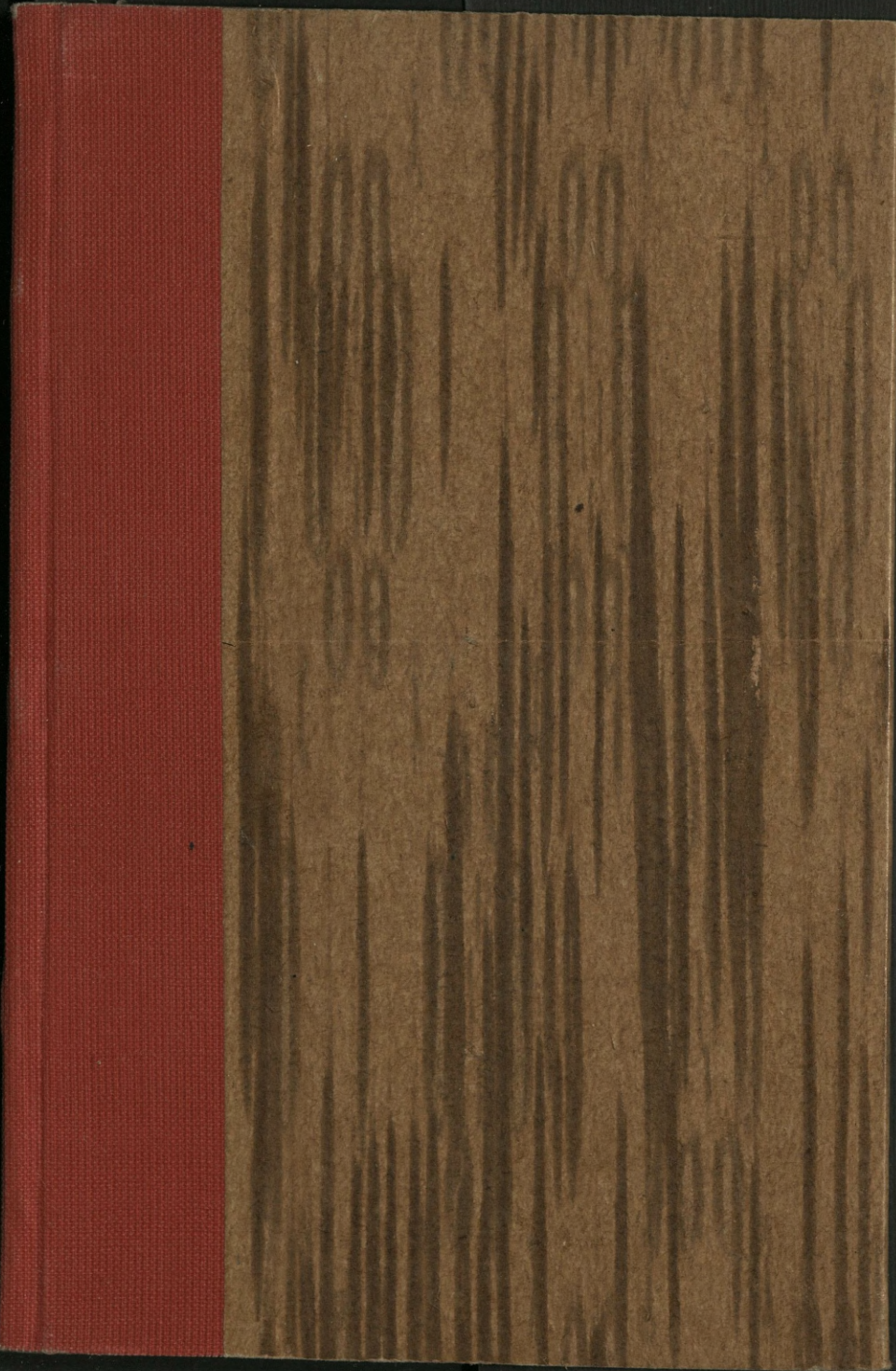




Grey Scale #13

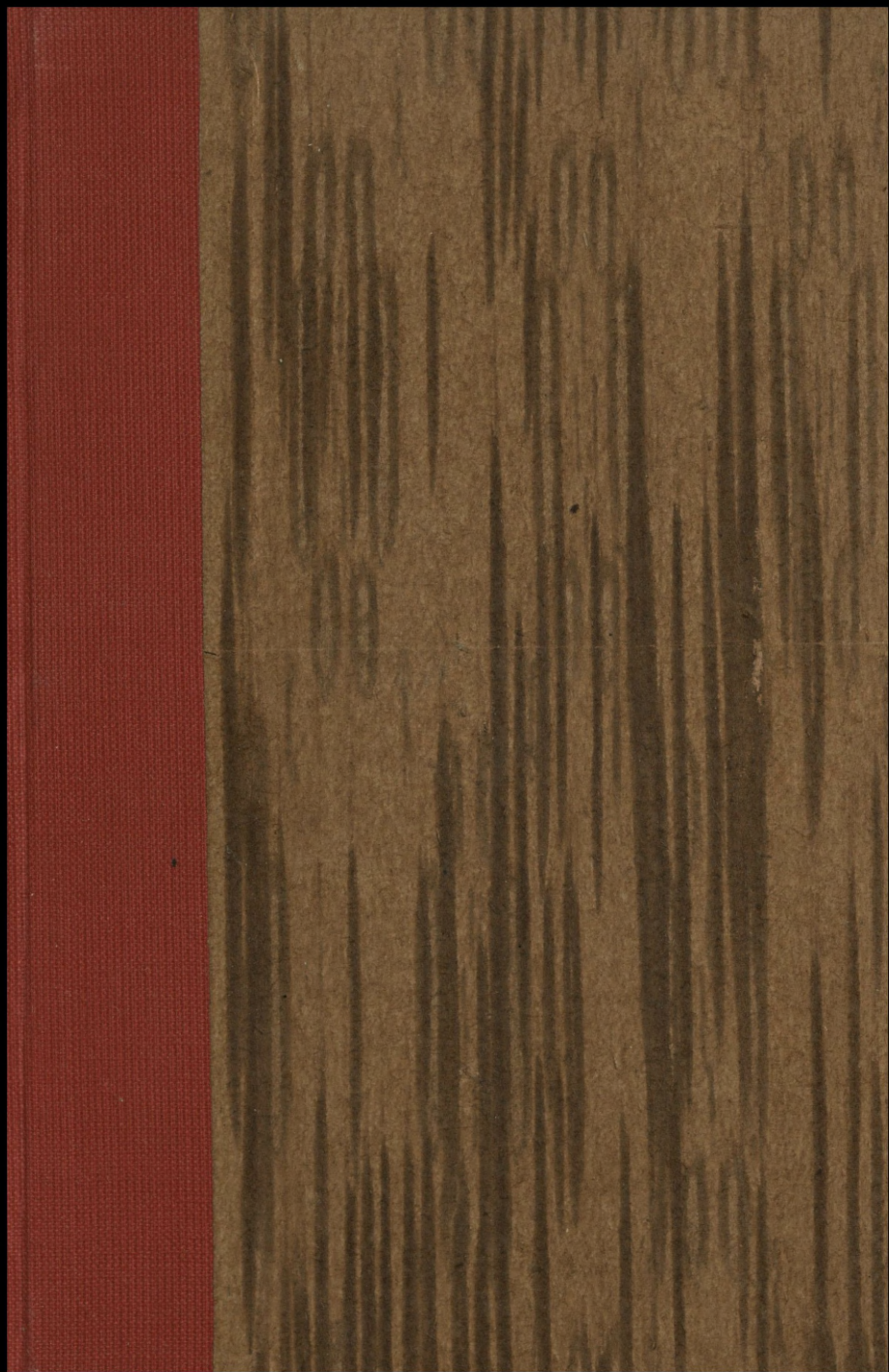


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 83.

KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

W SETNĄ ROCZNICĘ BOHATERSKIEGO ZGONU

NAPISAŁ

DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI



Cena 60 hal.

LWÓW — NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji „Macierzy Polskiej” w Gmachu Sejmowym, w Krakowie
w księgarni G. Gebethnera i Sp., w Nowym Yorku w biurze Tow. Polish Book Imp. Co. Inc.

1913

MACIERZ POLSKA

Fundacya utworzona przez J. I. Kraszewskiego w r. 1882 celem „szerzenia oświaty ludowej w tych warstwach społeczeństwa, w których jej potrzeba okaże się najpilniejszą“
wydaje:

- 1) Książki z dochodów **Fundacyi Kościuszkowskiej.**
- Nr. 1. **Tadeusz Kościuszko**, napisał Antoni Choleńsk^{kor. h.}. Z 40 rycinami, 2-ma tablicami kolorowanemi, przedstawiającemi wojsko Kościuszkowskie, i z autografem Kościuszki, wyd. wtóre w broszurze . . . 1 50
w ozdobnej oprawie . . . 2 —
- Nr. 2. **O wychowaniu**, napisał Dr. Antoni Danysz 1 60
- Nr. 3. **Uniwersytet wileński i jego znaczenie**, z 59 rycinami i 2-ma tablicami kolorowanemi. Napisał Ludwik Tur w broszurze . . . 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 4. **Kultura polska** zawiera:
Dzieje literatury polskiej, Dzieje budownictwa, rzeźby, malarstwa i muzyki w Polsce. Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce do r. 1795. Stosunki gospodarcze, społeczne i ekonomiczne w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi, w Księstwie Poznańskim, w Prusiech Królewskich, na Ślązku i w Galicyi. Lata ostatnie 1904—1908. — Cena tomu broszurowanego 8 —
kartonowanego 10 —
oprawnego 12 —
- Nr. 5. **Puławy**, przez W. Jankowskiego w brosz. 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 7. **Okruszyny z Gremboszowa**, napisał Jakób Bojko, z licznemi rycinami w kartonie . 1 70
- Nr. 8. **Piotr Skarga**, napisał Konstanty Wojciechowski, z 23 rycinami w broszurze . . 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 9. **Hugo Kołłątaj**, nap. E. Kipa z 14 rycinami
w brosz. 1 20
w kartonie 1 80
- Nr. 10. **Tadeusz Czacki i Krzemieniec**, napisał Michał Rolle 1 40

2505/11

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 83.

P. 263

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU BOHATERSKIEGO

NAPISAŁ

DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI



WE LWOWIE

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji »Macierzy Polskiej« w Gmachu Sejmowym

Skład główny w Krakowie w księgarni G. Gebethnera i Sp.

W New Yorku w Towarzystwie »Polish Book Importing Co Inc.«

1913

Ladenberger Tadeusz
7/10/36

~~557/5~~

93(438)9

KSIĄŻE JOZEF POMIATOŃSKI

W. SZYMAŃSKI

BR. BROŃSKI I PAWŁOWSKI

6586/
A

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

10. 10.
M.

Naród polski od wieków słynął męstwem i walecznością. W ciągu swego istnienia stoczył on wiele bitew, które rozniosły sławę polskiego oręża szeroko po świecie, a imiona takich znakomitych wodzów, jak Stanisław Żółkiewski, Karol Chodkiewicz, Stefan Czarniecki, Jan III. Sobieski, otoczyły naród nieśmiertelną chwałą i przekazały wdzięcznej potomności.

Nadeszły jednak czasy upadku. Nieprzyjaciele bezkarnie wpadali w granice Rzeczypospolitej, rządzili w niej, jak we własnym kraju, a następnie rozebrali jej ziemie między siebie. Zdawałoby się więc, że naród, który pozwolił na trzykrotny rozbiór swej ojczyzny, na zupełne wykreślenie jej z rzędu państw niezależnych, że ten naród już całkowicie zatracił dawne cnoty wojenne, przekazane mu przez dziadów. Zdawałoby się, że nie stało już wodza, któryby go zaprowadził do nowych zwycięstw.

Tak jednak na szczęście nie było. Bo oto także i dzieje Polski porozbiorowej, przekazały nam szereg pięknych czynów wojennych, znaczny poczet nazwisk wodzów na dowód, że nie wygasł w naro-

dzie wojowniczy duch przodków, że bohaterskie serce wciąż jeszcze biło, jak dawniej, w niejednych piersiach i że byli ludzie zdolni poprowadzić hufce polskie jeszcze nieraz na pole chwały.

Wiele jest nazwisk mężów, którzy się w tych bojach chlubnie odznaczyli. Szczególniejszym blaskiem jednak jaśnieją imiona trzech naszych wodzów, mianowicie Naczelnika Tadeusza Kościuszki, twórcy legionów Henryka Dąbrowskiego i Naczelnego Wodza wojsk polskich w wojnie 1792 roku tudzież z czasów Księstwa Warszawskiego ks. Józefa Poniatowskiego.

Każdy z nich położył wielkie zasługi około ojczyznej sprawy. Każdego też nazwisko zostało trwale zapisane na kartach naszych dziejów, lecz z pośród nich postać ks. Józefa owiana jest jakimś dziwnym urokiem bohaterstwa, szlachetnej, nieskalanej dobroci i rycerskości. Przez całe swe życie służył on stale raz obranemu hasłu, tę wierność wreszcie okupił swą krwią, ginąc bohaterską śmiercią na polu walki. Podniósł wysoko sztandar honoru żołnierza polskiego, wzbudził cześć dla niego nie tylko w kraju, ale i za granicą, z godnością przez całe swe życie na wyżynach go utrzymał, a tragicznym swym zgonem dodał mu nowego blasku. Za życia ulubieniec żołnierzy, po śmierci stał się pięknym wzorem do naśladowania, tak dla swego nieustraszonego męstwa, jak i dla szlachetnych zasad, które nim kierowały, a zasadzały się głównie na tem przekonaniu, że wszystkie sprawy prywatne, nawet życie własne, należy podporządkowywać

a w razie potrzeby z gotowością poświęcić dobru publicznemu, dobru ojczyzny.

Sto lat mija od tej bolesnej chwili, w której ks. Józef poległ śmiercią walecznych. Dla uczczenia jego pamięci i dla przypomnienia dzisiejszemu pokoleniu jego czynów, wychodzi ta oto książeczka.

I.

Książę Józef Poniatowski urodził się d. 7 maja 1763 roku zdala od swej ojczyzny, bo w Wiedniu, jako syn Andrzeja i Teresy z hrabiów Kinskych. Ojciec jego mieszkał stale w tem mieście, ponieważ był generałem wojsk austryackich. Szedł on w tym względzie za utartym w owych czasach zwyczajem, że synowie nawet najznakomitszych rodów szukali służby u obcych, ponieważ we własnej ojczyźnie nie było odpowiedniego pola do popisu i do rozwinięcia swych zdolności — zwłaszcza zaś w kierunku wojskowym.

Za przykładem więc innych poszedł i młody Andrzej Poniatowski. Choć więc pochodził z pańskiego rodu, choć spokrewniony był z Czartoryskimi i innymi możnymi rodzinami, odgrywającymi za panowania Sasów pierwszorzędną w Polsce rolę, przecież poszedł na naukę do obcych i tam już pozostał. Wstąpił on mianowicie w młodości do wojska austryackiego, odznaczył się rychło na polu walki, szybko też z tego powodu posuwał się na coraz wyższe stopnie wojskowe — aż doszedł do

godności feldmarszałka — porucznika. Obok piastowanego stanowiska silnie związało go z nową ojczyzną małżeństwo jego z hrabianką Kinską. Nie wniosła mu ona wprawdzie wielkich majątności w posagu, ale pochodząc ze znakomitej rodziny, użyteczna mu znacznych wpływów na dworze wiedeńskim. Pozostał więc Andrzej w Austrii, nawet wtedy, gdy na tron polski wstąpił starszy brat jego Stanisław August i gdy skutkiem tego otwierała mu się droga do rozmaitych zaszczytów i godności w własnym kraju.

Tam też w Wiedniu urodził mu się syn, który otrzymał na chrzcie św. imiona: Józef Antoni. Niedługo jednak mógł się generał cieszyć swym jedynakiem. Zawsze słabowitego zdrowia, umarł w młodym jeszcze wieku, pozostawiając dziesięcioletniego chłopaka i starszą nieco córkę Teresę, pod opieką matki. Ta, choć bardzo kochała swego syna, odnosiła się do niego dość rozmaicie: raz pieściła go za nadto, drugi raz znowu obchodziła się z nim za surowo, co dotkliwie odczuwało wrażliwe serce młodzieńca.

Na szczęście młodym chłopakiem zaopiekował się stryj — król Stanisław August. Nie mając dzieci własnych, z dziwną czułością zajął się losami swojego bratanka, wychowaniu jego poświęcając pieczołowitą uwagę. Okoliczność ta miała w późniejszym życiu księcia pierwszorzędną odegrać rolę.

Zwrócił on na obudzenie drzemiących w sercu bratanka uczuć narodowych główną uwagę. Obok innych nauk, ustawicznie zalecał mu pilne kształ-

cenie się w języku ojczystym. Dla tem lepszego zaznajomienia się z jego właściwą ojczyzną, której usługom miał ofiarować swe późniejsze życie, częstokroć sprowadzał go król do Warszawy i tu na miejscu pouczał go o ciężących na młodziutkim księciu obowiązkach względem kraju ojczystego.

Księżę też w niedługim już czasie musiał sobie obrać przyszły zawód. Wybrał jeden z najpiękniejszych: zawód wojskowy — obrońcy ojczyzny. Ale bo też miał i wszelkie warunki do niego. Dorodnej postaci, smukły, dziarski, do wszelkich ćwiczeń fizycznych chętny i zręczny, nadawał się doskonale do zawodu wojskowego, do którego też od dzieciństwa już czuł jakiś nieprzeparty pociąg.

Lecz nie wstąpił do wojska polskiego z tej prostej przyczyny, że go wówczas prawie nie było. W małej liczbie rozprószone na olbrzymiej przestrzeni granicznych połaci, nie nazbyt karne i niewyćwiczone w obrotach wojennych, nie nastęczało ono prawie żadnej sposobności do odpowiedniego wyszkolenia młodego księcia w obranym przez niego zawodzie.

Wstąpił on więc do wojska tam, gdzie służbę odbywali jego znajomi i towarzysze zabaw dziecięcych, dokąd go wołało otoczenie i rodzina matki, dokąd go wzywała pamięć ojca. Wstąpił do wojska austriackiego.

W tym czasie właśnie panował w Austrii cesarz Józef II. Jemu to podczas wielkich ćwiczeń pod Pragą przedstawiono czternastoletniego księcia. Cesarz, widząc zgrabną jego postać, już wówczas za-

chęcał go do wstąpienia w szeregi austriackie. Lecz chłopiec wtedy był jeszcze za młody, by mógł podołać w zupełności ciężkiej służbie wojskowej.

Poszedł za radą cesarską dopiero w trzy lata później, mając lat siedmnaście. W lutym 1780 roku zamianowany został podporucznikiem w drugim pułku karabinierskim, którego stałe leże znajdowało się w Czechach.

Król Stanisław August zapewne wolałby mieć dorastającego młodzieńca umieszczonego w gwardyi polskiej u swego boku, lecz wstąpieniu jego do służby austriackiej się nie sprzeciwiał. Zrobił mu tylko pewne, głębiej na przyszłość pomyślane zastrzeżenia. I tak księżę wstępował do wojska obcego z tem, że to czyni tylko dla swego wykształcenia zawodowego, a więc, że to jest służba tylko czasowa, którą opuści przy odpowiedniej okoliczności, to znaczy wtedy, gdy go własna ojczyzna powoła.

Zawód wojskowy bardzo podobał się księciu. Pilnie też przykładał się do tego, by i sam mógł nabrać coraz większej w nim biegłości i by wyuczyć dokładnie odpowiednich obrotów powierzony sobie oddział żołnierzy. Za tę dodatnią swoją pracę często odbierał pochwały od swych przełożonych.

W lecie roku 1871 odbywał cesarz Józef II. przegląd wojsk, załogujących w Czechach. Między innymi wystąpił przed cesarzem także pułk karabinierów, w którym służył księżę Józef. Pierwszy ten większy popis wypadł dla młodego podporucznika bardzo korzystnie. Cesarz pochwalił go, a w nagrodę jego pilności i sumiennosci służbowej posunął go

zaraz na stopień rotmistrza. Potem Józef II., ceniąc w księciu wybitny talent wojskowy i liczne jego zasługi, niemal co roku obdarzał go wyższym stopniem wojskowym, tak, że już w r. 1786 był nasz ksiązę podpułkownikiem w jednym z najbardziej doborowych pułków austriackiej konnicy.

Bo też jazda, ten najbardziej narodowy gatunek broni, najlepiej odpowiadała i najwięcej podobała się ks. Józefowi. Ogromnie lubił on konie, był też zapalonym jeźdźcem, takim, który nie cofa się przed żadną przeszkodą. Razu pewnego naprzykład, podczas letnich ćwiczeń wojskowych, założył się, że konno w całym uzbrojeniu przejedzie szeroko wozbraną wówczas rzekę Łabę, czego też w rzeczy samej, ku zdumieniu wszystkich, dokonał. Jest też z tego czasu podanie, że podówczas miała mu przepowiedzieć cyganka jego śmierć, mówiąc, że choć pokonał Łabę, to jednak Elstera pozbawi go życia. Śmiała swą jazdę przyplacił razu pewnego ksiązę bardzo nawet ciężko, ponieważ upadł wraz z koniem, złamał nogę i przez dłuższy czas musiał się leczyć.

Dzięki swojej gorliwości w wypełnianiu obowiązków zasłynął on wkrótce jako jeden z najzdolniejszych oficerów. Cały zasób energii rozwinął zwłaszcza przy tworzeniu pierwszych pułków ułańskich, rekrutujących się z ludności niedawno do Austrii przyłączonej Galicyi.

W niedługim wreszcie czasie nadarzyła się sposobność, w której ksiązę Józef mógł okazać inne jeszcze przymioty: odwagę i przytomność umysłu



Książę Józef Poniatowski.

w ogniu bojowym. Oto bowiem w r. 1788 wypowiedziała Austria wraz z Rosją wojnę Turcyi. Wyruszył na nią również i ks. Józef, jako adjutant cesarza. Przydzielony do orszaku cesarskiego mało miał sposobności do odznaczenia się. Lecz skory do boju kilkakrotnie wyruszał na nieprzyjaciela jako ochotnik, nieraz też odznaczył się wielką odwagą i pogardą śmierci.

Wojna ta początkowo toczyła się około tureckiej twierdzy Szabacu. Książę wraz ze swym przyjacielem, ks. Schwarzenbergiem, czynił nieraz wycieczki pod mury twierdzy, z których wracał zwykle z wziętymi do niewoli Turkami. W końcu oblężenia, gdy miano już przypuścić atak na sam zamek, ks. Józef poprosił, by mu wolno było poprowadzić żołnierzy do tego szturm. Gdy się na to zgodzono, książę powiodł swój oddział na mury zamku z nieustraszoną odwagą. Przedarł się już przez okalający dookoła twierdzę rów forteczny, lecz dostawszy się pod sam mur, został ciężko raniony kulą karabinową w udo. Z wielkimi trudnościami wynieśli go stamtąd żołnierze, a później tylko dzięki bardzo starannej opiece lekarskiej uniknął książę grożącego mu kalectwa.

Za czyn ten Józef II. mianował go pułkownikiem »w łaskawem uwzględnieniu« — jak brzmiało odręczne pismo cesarskie — »wyświadczonych Nam i Domowi naszemu, a i nadal spodziewanych wiernych, gorliwych i pożytecznych usług, zdobytego doświadczenia wojskowego, okazanej chwalebnej przed nieprzyjacielem odwagi i innych zalet !«

Ale tylko niedługi czas jeszcze miał pozostać ks. Józef w szeregach austriackich. Zgłosił się coprawda książe, ledwo tylko nieco przyszedł do zdrowia, do służby, by w dalszym ciągu brać udział w wojnie z Turkami, lecz na plac boju już nie pojechał.

Bo oto nastąpiła chwila, przewidywana onego czasu przez króla Stanisława Augusta. Ojczyzna powoływała młodego pułkownika pod swoje własne narodowe sztandary. Otwierało się przed księciem nowe życie, nowa droga, pełna wprawdzie krwawego trudu, wysiłków mozolnych, gorzkich zawodów, rozpacznych chwil, ale też wkońcu uwieńczona ciężko zapracowanym wawrzynem chwały: bohatera narodowego, godnego spocząć w grobach królewskich.

II.

Pierwszy rozbiór ziem polskich przekonał narzeczcie ogół, że z Rzeczpospolitą jest źle, że państwo chyli się do upadku. Coraz też silniej poczęło szerzyć się w narodzie dążenie do zapobiegnięcia temu, przez wprowadzenie takich zmian w państwie, któreby mu przydały nowych sił żywotnych, któreby wzmocniły władzę rządu, a ukróciły i zupełnie zniszczyły dotychczasowy nierząd i samowolę.

Na skutek tych dążeń Polska dość szybko poczęła budzić się z dotychczasowego stanu nieczynności i uśpienia. Na widownię publicznego życia występują ludzie kraj swój głęboko kochający, którzy swemi pismami i mowami zachęcają bierny lub tym nowościami zgoła niechętny ogół szlachecki do przedsięwzięcia koniecznych zmian, zdążających do naprawy ustroju państwowego.

Pod takim to hasłem zebrał się w Warszawie sejm roku 1788, zwany później czteroletnim lub wielkim. Zaraz na pierwszy ogień poszła pod rozważę sejmujących sprawa najogólniej odczuwana,

mianowicie sprawa pomnożenia wojska do liczby 100.000.

Uchwalono ją w rzeczy samej, z rzadką jak na owe czasy jednomyślnością, na posiedzeniu odbytem 20 października 1788. Zdawano sobie bowiem powszechnie sprawę z tego, że kraj bez wojska nie może myśleć ani o obronie swych granic, ani o obronie uchwał i zmian, właśnie wprowadzić się mających. Z powiększeniem liczby wojska łączyła się jednakże pewna trudność. Kraj mógł wystawić znaczne wojsko — lecz brak było dla niego dowódców. W dotychczasowej armii polskiej była wprawdzie garstka znających sztukę wojskową ludzi, lecz ci przy tak zmienionych warunkach już nie wystarczali. Dla urządzenia i wyćwiczenia nowych oddziałów i to na sposób praktykowany już za granicą trzeba było większej ilości oficerów, zdanych i w rzemiośle wojennem zaprawionych już odpowiednio gdzieindziej.

Z tego powodu poczęto powoływać pod ojczyście sztandary Polaków, którzy odbyli już lub jeszcze odbywali służbę wojskową za granicą. Wezwano więc do szeregów narodowych Tadeusza Kościuszkę, sławnego już bohatera z wojny o niepodległość w Ameryce, Henryka Dąbrowskiego, znanego później twórcę legionów, i kilku innych.

Nie zapomniano też, przeciwnie parokrotnie upominano się na sejmie o ks. Józefa. Z tego też powodu w pierwszych dniach czerwca komisya sejmowa, ustanowiona do urządzenia nowego wojska, już wprost odniosła się do Stanisława Augusta, by

ten wezwał do kraju ks. Józefa, »w służbie wojskowej cesarskiej zostającego, który i sobie i narodowi przynosi sławę«.

Wobec takiego już urzędowego niejako kroku Komisji król, który z żywym zadowoleniem przysłuchiwał się tak pochlebnej dla jego synowca opinii, a później dyskusji publicznej, jaka się z tego powodu na posiedzeniu sejmowym wywiązała, zaraz nazajutrz wysłał do niego list, wzywający do powrotu.

»Wczoraj — pisał w nim król — senatorowie i posłowie, przez Sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesji sejmowej, abym Cię odwołał do służby ojczyściej, i to stało się w wyrazach bardzo szacownych dla Ciebie i przyjętem było w sposób, który mi dowiódł, iż uważają Cię za obywatela z odznaczeniem i mogącego być bardzo pożytecznym Ojczyźnie«.

»Po tym publicznym kroku nie mogę, jak tylko oświadczyć Ci życzenia i wolę moją, abyś nam tu powrócił. Wiem, ile Cię będzie kosztowało opuszczać służbę Monarchy, który Ci tyle względów okazał, a osobliwie opuszczać go na początku kampanii. Ale skoro zastanowisz się nad okolicznościami i skoro cesarz o nich wiedzieć będzie, ani on, ani nikt, ani Ty sam, nie znajdziesz powodów, zwalniających Cię od najpierwszego Twego obowiązku, do którego Cię wzywam«.

»Bóg dał Ci się urodzić Polakiem — kończył swe pismo król — a sądzę, żem Ci dowiódł, że Ci

zastępuję ojca. Z tytułu jednego i drugiego piszę do Ciebie i żądam, abyś się nam powrócił, jak będzie można najprędzej przyzwoicie to uczynić».

Pisząc te słowa, król doskonale zdawał sobie sprawę z znacznych trudności, jakie jego wezwanie zrodzi w duszy i otoczeniu ks. Józefa, dlatego to odwoływał się Stanisław August do uczuć patryotycznych i synowskich księcia.

W rzeczy też samej młody pułkownik niechętnie tylko myślał o opuszczeniu służby austriackiej.

W Wiedniu był zadomowiony, miał krewnych po matce, swoich blizkich sercu przyjaciół i znajomych, drogę otwartą do wysokich godności i zaszczytów. W Polsce, do której dość często zjeżdżał, czuł się wciąż jeszcze obco. Przyzwyczajonego do ładu i porządku, jaki widział podówczas w Austrii, razila próżna gadatliwość sejmów i ustawiczne schlebienie drugim, zwłaszcza możnym.

To też jeszcze przed otrzymaniem tego wezwania królewskiego, gdy już parokrotnie była mowa o powrocie jego do kraju, tak w jednym liście zwierzał się poufnie swej siostrze Tyszkiewiczowej: »Nie mało tu (w Wiedniu) jest takich, którzy mi często powtarzają to piękne słowo Ojczyzna i przypominają mi moje powinności ku niej. Niechże mi ci ludzie wskażą sposób służenia jej jako żołnierza, a pewnie zobaczą, czy się do tych powinności poczuwam, ale klócić się w sejmie, słuchać ustawicznego skrzeczenia istot bezrozumnych, powodowanych prywatą, znosić obelgi, ciskane pod osłoną

patryotyzmu, udawać przed pierwszym lepszym, nie być nigdy sobą, jest to rzemiosło zgoła niezgodne z moim charakterem«.

Ponieważ obecnie powoływano go do służby żołnierskiej, jak tego pragnął, choć może z bolem w sercu i tęsknotą za dawnymi stosunkami, natychmiast zastosował się do woli królewskiej. Wystąpił z armii austriackiej, po drodze pożegnał się czule z pułkiem ułanów, którego był założycielem, i stanął w sierpniu 1789 roku w Warszawie.

Tu wkrótce potem uchwałą sejmową z 3 października został zamianowany, równocześnie z Kościuszką, generał-majorem, następnie został dowódcą gwardyi pieszej koronnej, członkiem deputacyi do ułożenia regulaminu wojskowego, wreszcie na wiosnę następnego roku objął dowództwo dywizyi braclawskiej, do której dodano mu później i kijowską.

Z coraz to nowemi godnościami spadały też coraz to nowe ciężary na młode, niewyrobite jeszcze należycie barki księcia. Położenie jego było trudne, bo też równocześnie rwało go ku sobie wesołe, huczne, beztroskliwe życie, jakie bujnie pod ten czas przelewało się w Warszawie, zwłaszcza na dworze królewskim.

Z jednej więc strony zabawa i rozmaite pokusy życiowe, z drugiej zaś ciężka i odpowiedzialna służba, zaprzętały umysł księcia. Jak mógł i umiał, tak dzielił czas to na jedno, to na drugie.

Prawodawca mody, elegant, tancerz zawołany, łączył w sobie przy wspaniałej i urodziwej postawie wszystkie przymioty, tak wówczas rozwiniętego

życia towarzyskiego. Pod tym względem wysunął się na czoło, był pierwszym w rozbawionej Warszawie. Jeden ze współczesnych podróżników taki kreśli obrazek: »Książę Józef Poniatowski znany jest jako doskonały tancerz, zarazem wybornie jeździ konno i powozi. On był jednym z pierwszych, który lekki, otwarty, wysoko zawieszony powóz, w Niemczech zwany whisky, a w Polsce kabryoletem, wprowadził w Warszawie w modę. Z początku zaprzęgał do niego po cztery konie, potem ośm w poręcz, jedno za drugim, powożąc z siedzenia stojący, co wyglądało bardzo malowniczo i widzom przypominało starożytnych w cyrkach woźniców. Konie miał zawsze najpiękniejsze, pełne ognia, rosłe i silne, ale tak mistrzowsko nimi władał, że harde stworzenia stały, szły, skakały, jak im jego ręka i głos nakazał. Ćmiło się w oczach i strach ogarniał, patrząc gdy jedną z szerokich i długich ulic w pełnym pe-dzie, wymijając inne powozy, przebiegał. Zwykle stawał pośrodku, mając obok siebie dwóch przyjaciół. Wielhorski jego przyjaciel broni z kampanii tureckiej, stale mu towarzyszył, potem najczęściej jeździł z Kościuszką. Ta grupa, tak pociągająca dla oczu polskich, nie mogła nie przykuwać wszystkich spojrzeń«.

Mimo jednak, że pokusy były niejednokrotnie silniejsze od obowiązków, mimo, że częstokroć oddawał się w całej pełni wesołemu życiu, to przecież nie zaniedbywał spraw sobie powierzonych. Oddziały dowództwu swojemu oddane ćwiczył i na nowo od stopni najniższych do najwyższych orga-

nizował. Troszczył się o pieniądze, żywność, ubranie, uzbrojenie i wszelkie potrzeby żołnierskie. Jak mógł, tak zabiegał to na sejmie, to u króla o zarządzenie wszelkim, a niestety licznym jeszcze brakiem.

Ta organizacyjna jego praca poczęła już nawet dodatnie wydawać owoce. Na ćwiczeniach wojskowych pod Braclawiem za dobrą postawę swego korpusu odebrał książkę pochwały. Lecz te wszystkie zabiegi przerwały, a potem zupełnie zniszczyły wypadki, które wkrótce potem nadeszły.

Rosya, która pragnęła, by Polska była w ciągłej niemocy, ażeby tem łatwiej można nią było rządzić i w stosownej porze dla siebie całą zagarnąć, nie mogła dopuścić do zmian, któreby Rzeczpospolitą wzmacniały. Nie na rękę jej zwłaszcza były uchwały Sejmu wielkiego, przedewszystkiem zaś zwiększenie liczby wojska i, co najważniejsza, uchwalona 3 maja 1791 konstytucya. Wprowadzeniu tych uchwał w życie postanowiono w Petersburgu oprzeć się siłą i gwałtem.

Sposobność do tego nadarzyła się doskonała, gdy kilku potężnych magnatów, jak Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski, hetman Branicki, niezadowolonych z konstytucyi 3 maja, zawiązało ohydną konfederacyę Targowicką, która wezwała na pomoc dla obalenia tej ustawy wojsko rosyjskie.

Skorzystała z tego natychmiast Katarzyna, a mając właśnie wolne ręce po świeżo ukończonej wojnie z Turcyą, niemal wszystkie tam zajęte wojska pchnęła do Polski. Z początkiem więc maja 1792 r. zbliżała się już do granic Rzeczypospolitej

potężna armia rosyjska w liczbie 64.000 żołnierza, pod dowództwem generała Kachowskiego. W Petersburgu nie wiele robiono sobie z świeżo powstałej armii polskiej. Garstka jej ani liczebnie, ani wyrobieniem wojskowym nie zapowiadała długiego boju. To też dowódcy rosyjscy mieli zamiar niemal bez walki — prostem oskrzydleniem i wzięciem do niewoli uczynić ją nieszkodliwą. W tym celu armia rosyjska została podzielona na cztery oddziały. Każdy z nich miał mniej więcej równocześnie do ziem polskich wkroczyć, a następnie iść w kierunku sił polskich, któreby w ten sposób zostały wzięte w ogień z czterech stron naraz i zmuszone wobec niewielkiej liczby do poddania się.

W Warszawie tymczasem nie spodziewano się tak blizkiego już starcia. Wciąż liczono na pomoc obcą — Prus i Austrii; ruchy wojsk rosyjskich uważano tylko jako pogróżki. Stąd brak przygotowania wojennego w armii polskiej, brak najniezbędniejszych potrzeb, kul, prochu i t. p. Armia stutysięczna była już wprawdzie uchwalona, lecz dotąd była ona na papierze tylko. Wojsko, które miało stawić wkraczającym oddziałom rosyjskim czoło, wynosiło ogółem ledwo 24.364 żołnierzy, a i to jeszcze nie zupełnie wyćwiczonych i zdolnych do oczekujących ich wojny, w dodatku rozsypanych w drobnych oddziałkach na olbrzymiej przestrzeni wzdłuż południowo-wschodniej granicy.

Naczelne dowództwo nad tem wojskiem powierzył król mianowanemu świeżo, 19 marca 1792 generał-lejtnantem, ks. Józefowi. Wyjechał on z War-

szawy 6 maja, a wyjechał z myślami wprost rozpaczliwemi. Miotaly nim wątpliwości, czy on, czy wojsko jego dowództwu powierzone odpowiedzą włożonemu na nich zadaniu. Sam nie miał o swoich zdolnościach na wodza, mimo, że je faktycznie w wysokim stopniu posiadał, dobrego wyobrażenia. Wszak nie tak dawno jeszcze, bo przed niespełna dwoma laty, pisał on do króla te tak charakterystyczne słowa: »...Uczyłem się przez jedenaście lat służby obcej być posłusznym i wykonywać szybko i dokładnie rozkazy, dawane mi przez starszych; może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumnie pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na wypełnienie tak ważnego miejsca; potrzebaby mi jeszcze wiele przykładów i wzorów, podług których należałoby postępować, szczególnie u nas, gdzie o wszystkim trzeba myśleć, przewidywać wszystkie trudności, jakie są w najlepiej nawet urządzonych wojskach, tem więcej u nas, gdzie wszystko, począwszy odemnie i wszystkich generałów, jest jeszcze w dzieciństwie«.

Od tego czasu, gdy ten list pisał, księżę przebywając przeważnie w wesołej Warszawie, nie wiele się mógł nauczyć. To też i teraz sobie nie dowierzał i prosił króla, aby powierzył dowództwo jakiemu biegłszemu od niego wodzowi obcemu. Rozkazu królewskiego jednak usłuchał. Jechał jakby na stracone stanowisko, ponieważ w dodatku czuł, że wojsko jego komendzie oddane nie zdoła się

oprzeć trzykroć silniejszemu nieprzyjacielowi, wyrobionemu doskonale w ostatnich bojach z Turkami.

Oto, jak kreśli sam książę stan ówczesny wojska polskiego: »Oficerowie po większej części byli albo za młodzi, albo za starzy, nie mający częstokroć najmniejszej wojskowej nauki. Dość było u nas na chęci zostania żołnierzem, ażeby przypisywać sobie wszystkie potrzebne ku temu zdolności. Zresztą żołnierz polski swoją zręcznością i swoją odwagą osobistą, największe budził nadzieje... Zaledwie zwracać zacząłem uwagę na liczne przedmioty, niezbędnie potrzebne do utworzenia, uporządkowania i utrzymania dobrego wojska, a już obarczony zostałem obroną części granic przeciwko rosyjskiemu najazdowi, mając pod ręką zaledwie 2000 ludzi razem zebranych. Czternaście tysięcy wojska, rozdzielonego i rozrzuconego po całej przestrzeni rozległych województw kijowskiego i braclawskiego dla zabezpieczenia linii granicznej, przeszło na sto mil rozciąglej, odrębne korpusiki o 40 i 50 mil oddalone jedne od drugich z artyleryą i zapasami wojennymi, dopiero przybyć mającymi, kiedy już Rosyanie w 64.000 żołnierza w czterech różnych punktach przekraczali polskie granice, oto były środki, które troskliwości mojej poruczono, a na których obrony kraju pokładano nadzieję«.

W nocy z 18 na 19 maja przekroczyły wojska rosyjskie graniczną rzekę Dniestr. Zadanie, jakie wobec tego z góry nakładano na wodza sił polskich, nie było chlubne. Polecano mu mianowicie, o ile możliwości ściągać drobniejsze oddziały

i cofać się coraz dalej w głąb kraju, gdzie były magazyny żywności i stały oddziały odwodowe.

Punktem, w którym ostatecznie ściągały się wojska, pozostające pod komendą ks. Józefa, był Lubar. Po niemal dwutygodniowym wypoczynku w tej miejscowości ruszono jednak dalej w głąb kraju, ponieważ tymczasem coraz bliżej podchodziły korpusy rosyjskie i zagrażały oskrzydleniem i odcięciem od Warszawy. Położenie nielicznej armii polskiej było w rzeczy samej bardzo ciężkie. Odczuwał to doskonale jej wódz młody, mający wysokie pojęcie o honorze wojskowym. Ustawicznie z drogi wysyłał on do króla o posiłki, »prośbę najmocniejszą, aby Wasza Królewska Mość zlitował się nad moim biednym stanem, nad tą garstką żołnierza, ochoczego wprawdzie, ale bardzo szczupłego«. Chodziło mu bardzo o to, żeby — jak donosił królowi — »nikt mi nie zarzucić nie mógł, gdyż więcej, jak samo życie, niosę na ofiarę Waszej Królewskiej Mości i ojczyźnie mojej, bo honor i reputację«, groził nawet śmiercią. Parokrotnie też w rzeczy samej się na nią narażał, aż król, który się od świadków o tem dowiadywał, musiał go upomnieć: »Życie Twoje — przypominał Stanisław August — jest koniecznie potrzebne i dla mnie i dla państwa. Zaklinam Cię, jeśli mnie kochasz, nie oddawaj się rozpaczy. Pamiętaj, że jesteś duszą armii i jeśli ona utraci tę duszę, trupem się stanie«.

Wojsko polskie cofało się na Połonne, gdzie spodziewano się zastać i potrzebne zapasy żywności i pozycję obronną, odpowiednio w ostatnich

czasach wzmocnioną. Odwrót ten postępował wśród drobnych utarczek, z których kilka było dla oręża polskiego pomyślnych, dzięki roztroprnym ruchom i zarządzeniom tak ks. Józefa, jak i dowodzącego jednym oddziałem generała Kościuszki. Nie obyło się jednakże i bez porażki, którą poniosły młode wojska na Boruszkowskiej grobli, gdzie stracono trochę ludzi i część taboru.

Do poważniejszej bitwy przyszło dopiero pod Zieleńcami. Wojska rosyjskie coraz natarczywiej następowały na pięty cofającym się wciąż oddziałom polskim. Ks. Józef zrazu myślał oprzeć się o Połonne i tu wytrzymać napór rosyjski bodaj jakiś czas. Tymczasem Połonne po przybyciu na miejsce okazało się za słabo wzmocnione, by tam można było skutecznie się bronić. Rozpoczęto więc po krótkim wypoczynku odwrót ku Zieleńcom. Tu też przyszło do pierwszej większej rozprawy. Nieprzyjaciel, ośmielony tem cofaniem się, zadaleko się tu naprzód wysunął. Rzucono się więc na jego straż przednią, a skutek był zgoła niespodziewany, bo oto w tym boju szeregi polskie ujawniły całą sprawność bojową, zmuszając do ucieczki pułki stare i wyćwiczone. Pierwsze to w tej wojnie zwycięstwo podniosło znacznie ducha w wojsku polkiem, a obok tego wyniku pod względem moralnym dodatniego, jeszcze odniesiono i tę korzyść, że rozped nieprzyjaciela został bodaj na krótki czas wstrzymany.

Dalszych jednak skutków zwycięstwo to nie miało, bo wiadomość o niem, wieziona do War-

szawy, rozminęła się w drodze z nakazem królewskim, by ks. Józef rozpoczął starania u dowódcy rosyjskiego o zawieszenie broni i zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich. Ks. Józef, choć z bolem serca, zastosował się do poleceń królewskich. Podjął rokowania, lecz napróżno, bo generał Kachowski nie zgodził się na zawieszenie broni. Znowu więc musiały wojska polskie cofać się ku Warszawie, mając na karku ustawicznie siły rosyjskie. Ks. Józef, jak mógł, tak się im opęczał. Idąc od Zieleniec, zatrzymał się w Ostrogu pod Zaslawiem, tu też pozostał przez parę dni, ciągle odpierając napady rosyjskie, dopóki mu nie wyszły niemal wszystkie naboje do dział. Ważną tą okolicznością zmuszony do opuszczenia Ostroga cofał się w dalszym ciągu pod Dubno za Bug, aby być bliżej Warszawy. Odwrot ten odbywał się wśród bardzo ciężkich warunków. Oddziały polskie nie posiadały ani odpowiedniej ilości żywności, ani nawet najniezbędniejszej ilości kul i prochu. W dodatku i ludność okoliczna nie nazbyt sprzyjała walczącym rodakom. Ze smutkiem też skarżył się potem wódz polski na tę obojętność. »Wszędzie, gdzie przechodziłem — tak on pisał w rok po tych wypadkach — patryotyzm obywateli szczupłe mi dostarczał sposoby utrzymania się, kiedy tymczasem te same okolice, szanując samowolne rozkazy Kozaków, utrzymywały dostatek w obozie rosyjskim«.

Mimo tak ciężkie warunki w odwrocie tym, jeszcze raz przecieź oręż polski odniósł zwycięstwo pod Dubienką.

Niestety koniec tej walce położył sam król, przystępując stosownie do rozkazów przysłanych mu z Petersburga, do znienawidzonej przez naród konfederacji Targowickiej. Z chwilą tą musiało ustać dalsze zmaganie się wojsk polskich z siłami najezdniczemi, ale ten krok królewski wywołał ogólne oburzenie tak w całym narodzie, jak i wojsku, jak zwłaszcza w pierwszej linii u jego naczelnego dowódcy, ks. Józefa.

Ten niezłomny rycerz, pełen godności i poczucia honoru, odczuł boleśnie ten tchórzliwy postępek króla. On, który wszelką słabością się brzydził, zgoła nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, dla której toczono ostatnią wojnę. Bo też jakże różne było postępowanie obu Poniatowskich, starego króla i młodego jego bratanka w podobnych mniej więcej okolicznościach. Ks. Józef, gdy go Targowiczanie, w szczególności zaś Seweryn Rzewuski, wzywali do niekarności względem władz przełożonych, tak na to wezwanie Rzewuskiemu z męską godnością odpisał: »Odebrałem pismo WMPana, Mości Panie Rzewuski, nad którym długo myślałem, co ono ma znaczyć? i czyli mam na nie odpowiedzieć? Lecz człowiek ucziwy nie ukrywa swych myśli, wzgarda dla podłych jest jego prawidłem, tak i ja dziś z WMPanem postępuję. Jako żołnierz przysięgły, honor kochający i powinności swojej zadość czyniący, nie znam innej władzy, jak władzę, którą naród cały ustanowił, żadnego innego prawa, jak rozkaz króla i Prześwietnej Komisji wojskowej, za-

dnego innego obowiązku, jak żyć z ukochaną ojczyzną lub za nią umierać. Jako obywatel nie mogę słuchać Rady WMPana, która pod pozorem wolności, upstrzona licznymi bajkami, jest przecież istotną zdradą. To są moje sentymenta i wszystkich podkomendnych moich, zacząwszy od prostego żołnierza. Proszę więc WMPana zaniechać odtąd niepotrzebnych pism, które nikogo omamić nie potrafią i być przekonanym, że ojczyzna jest naszym Bogiem i że hasłem jest naszym zwyciężyć albo umrzeć ze sławą«.

A podczas gdy młody książę takimi kierował się uczuciami, król, troszcząc się tylko o swe osobiste interesy, a o dobro kraju nie dbając, połączył się z lekkim sercem z Targowicą i popierającą tę konfederację Rosyą. Nic też dziwnego, że ks. Józef nieraz potem wyrzucał królowi ten jego postępek i słusznie ubolewał, że nie poszedł za jego radami pierwszorzędnej dla dobra kraju wagi. »Gdybyś Wasza Królewska Mość — pisał książę do Stanisława Augusta — na początku tej wojny, ponieważ ona nie była przygotowaną we względzie wojskowym, był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobyśmy byli zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem«.

Myśli te, zwłaszcza ostatnie o uwolnieniu włościan, będą przewijać się odtąd poprzez wszystkie ruchy narodowe. Dowodnie też wykazują, że charakter księcia w obozie, w walce o całość gra-

nie Rzeczypospolitej, dziwnie szybko wyszlachetniał, w ogniu armatnim i karabinowym niejako przetopił się, stęzał, zahartował, nabrał blasku i mocy.

Wojna ta przerobiła go z świetnego oficera w wodza, pełnego świadomości ciężących na nim obowiązków, przejętego miłością do ojczyzny, w obronie której nieraz prowadząc swe oddziały w ogień, ochotnie życia nadstawiał.

A tego poczucia ciężącej na nim odpowiedzialności przed narodem, jakże wiele właśnie w tym czasie potrzebował.

Król, który niedawno jeszcze radował się z powodu zwycięstwa pod Zieleńcami i posyłał w nagrodę za nie świeżo z tego powodu ustanowione krzyże »*Virtuti militari*«, teraz pod wpływem rosyjskim, przystąpiwszy do konfederacyi targowickiej jad rozkładu starał się wszczepić i w wojsko polskie.

Oparł się temu w sposób stanowczy ks. Józef. Już na pierwszą wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy, ostrzegął króla, a nawet mu groził, pisząc całkiem bez obślonek o wrażeniu, jakie te wiadomości w obozie wywarły. »Same takowe wieści — donosił królowi — rozbudziły już w wojsku niezmierne szemranie i nieukontentowanie. Konsekwencyom stąd wynikającym żadnym sposobem zapobiedz nie mógłbym, ponieważ nie taję się Waszej Królewskiej Mości, że jestem ten, który podobnemże oddycha czuciem. Przybliżyliśmy się w tej ufności do Waszej Królewskiej Mości, że wojsko

to, które żadnej skazy, żadnej plamy na sobie nie ściągnęło, będzie tak szczęśliwe, że oglądać będzie Waszą Królewską Mość na czele swoim, że go własnymi piersiami okrywać będzie. Oto Waszą Królewską Mość prosimy wszyscy, o to błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać».

Wezwanie to było spóźnione. Król do obozu nie przybył, zato przysłał rozkaz, by zaprzestać kroków wojennych. Wojsko miało być odprowadzone do Kozienic, tu rozdzielone na drobne oddziały, a następnie rozprószone po całej Polsce, by na przyszłość uczynić je w ten sposób nieszkodliwym.

Zrozumiano w obozie ten zamiar. Zawrzało oburzenie na króla, które też już w niedalekiej przyszłości spadnie ciężką klątwą wogóle na nazwisko Poniatowskich, a da się najdotkliwiej odczuć, najniesłuszniej niestety właśnie, ks. Józefowi, który wówczas najbardziej był dotknięty zachowaniem się króla i z tego też powodu tak gorzko pisał do Stanisława Augusta: »Najjaśniejszy Panie! gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpacz, którą dusza moja napełnioną została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się z Targowicą... Wielki Boże! czegoż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego. Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon».

Tymczasem królowi ani do głowy przychodziła myśl o zgonie. Przeciwnie, w grożącym mu niebezpieczeństwie starał się on o to tylko, by wy-

nieść cało głowę i wyciągnąć możliwe korzyści. Te nawoływania więc ks. Józefa były bez skutku. Na wezwanie wystosowane przez niego do króla, by przyjeżdżał do obozu i stanął sam na czele wojska dla prowadzenia dalszej walki, otrzymał książę tylko zakłęcia, »abyście mnie osobiście, a co większa całą ojczyznę nie podawali w największe niebezpieczeństwo, a raczej w ostatnią nie wtrącali zgubę, przeciwiąc się temu, com ja już przyrzekł, to jest, że przestaniemy wojować i że wraz ze mną wojsko Rzeczypospolitej przystępuje do konfederacji powagą i interesowaniem Imperatorowej zaszczyconej«, a dla uspienia wszelkich skrupułów w końcu dodawał Stanisław August: »Gdzie ja jestem, gdzie ze mną będą, tam honor ich zawsze ocalonym zostanie«.

Słowa te nie trafiły, ani trafić nie mogły do przekonania dowódcy ostatniej wojny. Odpowiedzią na nie była prośba wręczona przez ks. Józefa o uwolnienie go ze służby wojskowej. »Przywiązanie nasze — pisał w niej książę — do Waszej Królewskiej Mości nie zawisło od okoliczności i jest nieodmienne. Przez cały czas służby naszej staraliśmy się dać W. Kr. Mości najniewątpliwsze dowody wierności, gorliwości i ślepego posłuszeństwa. Lecz gdy teraz taka odmiana nastąpić może, że moglibyśmy już być nicużyteczne W. Kr. Mości, przekonałiśmy się więc, że nam koniecznie potrzeba upewnić się o łatwości wyjścia naszego ze służby. Przekonanie nasze, miłość ojczyzny i najlepszego

z królów, były nam dotąd przewodnikiem w działaniach naszych i w świętej sprawie ojczyzny naszej. Żołnierz nie ma tylko jedno słowo, a poczciwy człowiek jedną przysięgę i jedno i drugie nas wiązało do tej sprawy, której broniliśmy krwią i życiem naszym. Z tego powodu upraszam W. Kr. Mość o łaskawe przychylenie się do Not tu przyłączonych, jako też nie mniej o akkordowanie¹⁾ dymisyi tym wszystkim oficerom, którzy równego z nami są przekonania, a których później Noty będą miał honor W. Kr. Mości odesłać.

Dan w obozie pod Sieciechowem 30 lipca 1792«.

Równocześnie wręczył swe podanie o uwolnienie ze służby cały szereg generałów i oficerów. Niespodziewany ten krok przykro zaskoczył Stanisława Augusta. Bolało go najwięcej wystąpienie ks. Józefa. Starał się go więc w rozmaity sposób od tej myśli odwieść. Lecz ksiązę był w swem postanowieniu niezłomny. Czuł doskonale, jak wielka odpowiedzialność na nim ciąży, wiedział, że całe wojsko, kraj cały, ma na niego oczy zwrócone. Nie usłuchał namów i uludnych podszeptów swego stryja i króla. »Powinność, przekonanie — pisał on Stanisławowi Augustowi w odpowiedzi na jego nagania — zaufanie publiczne, honor wojskowy, wszystko to mnie wiąże, wszystko zmusza być stałym w powziętem postanowieniu«.

Król wobec tego ustąpił i udzielił mu żądanego uwolnienia ze służby wojskowej. Ksiązę koń-

¹⁾ udzielenie.

czył w ten sposób pierwszy okres swej pracy, swych wysiłków dla ojczyzny. Wspólnie przebyte trudy i niebezpieczeństwa, krew przelana, w dziwnie szybki sposób nastroiły na jeden ton dusze podkomendnych z duszą ich wodza. Na polu walk wytworzyła się wspólnota uczuć tak miłości ojczyzny, jak nienawiści do wrogów i Targowiczan. Wódz nabrał przekonania do tych dopiero pod ogniem nieprzyjacielskim zaprawiających się żołnierzy, ci znowu poczęli go darzyć zaufaniem, tego »pięknego oficera-paniczyka«, synowca królewskiego, a ich naczelnego wodza.

Nic też dziwnego, że w chwili, gdy wojna ta się kończyła, mimo jej nawet fatalnego rozwiązania, wojsko i nadal odnosiło się z całą ufnością do ukochanego już wodza. O północy 6 sierpnia ks. Józef opuścił obóz i udał się do Warszawy. Wojsko jednakże, prócz bardzo czułego pożegnania, wręczyło mu medal i odpowiednie pismo. Medal ze złota odlany, na jednej stronie przedstawiał popiersie księcia, z napisem wokoło: *Josephus Princeps Poniatowski* ¹⁾, na drugiej nosił słowa wśród wieńca wawrzynowego: *Miles Imperatori* ²⁾ *MDCXCII*. Adres zaś wręczony przez wojsko księciu brzmiał następująco: »Niemasz z nas nikogo, ktoby przekonany nie był o męstwie, waleczności, trudach, staraniach i przywiązaniu do każdego oficera i żołnierza JOX. IMCI Poniatowskiego, generał-leutn., komenderującego główną armią w kam-

¹⁾ Józef ks. Poniatowski.

²⁾ Żołnierz — wodzowi.

panii przeciw Rosyi. Znamy, ile mężne, przezorne i szlachetne jego wszyskiem władanie sprawiło broni ojczystej wieczną sławę i każdemu żołnierzowi honor i szacunek. Z tego powodu, dopóki imię żołnierza nie wygaśnie, dopóki cnota wdzięczności ludziom miłą będzie, zaręczamy Mu tem pismem naszym nieśmiertelną wdzięczność, głębokie uszanowanie i niezatarte przywiązanie nasze. Ażeby zaś niniejszy hołd, który męstwu, cnocie, talentom i szlachetności duszy Jego oddajemy, całemu światu był wiadomy, medal bić zlecamy, na którym z jednej strony ma być wryty biust Jego, a na drugiej ten napis: *Miles Imperatori*. Niniejsze pismo nasze dla większej wagi i waloru, ręką generałów naszych stwierdzone, aby przez jednego sztabs-oficera, oficera i żołnierza w każdym korpusie podpisane zostało, umyśliliśmy. Dan w obozie pod Kozienicami dnia 6 sierpnia 1792 roku«. Następują podpisy. Pierwszy figuruje Kościuszko. Obok tego pisma wysłano drugie do matki księcia w Pradze, z wyrazami szacunku i wdzięczności za wychowanie takiego syna krajowi.

Uznanie, jakie znalazł księżę u swych podwładnych, nie było odosobnione, i po przybyciu do Warszawy nieraz na publicznych miejscach spotykał się z wyrazami czci i sympatyi. To naturalnie nie mogło się podobać królowi, który widział w tem przyganę dla siebie. Radby był więc król pozbyć się z stolicy swego synowca. Dołało oliwy do ognia śmiałe i otwarte pismo księcia, wydane do swych

dawnych żołnierzy z podziękowaniem za medal i adres. »Walczyliśmy — pisał w niem książkę — za umiarkowaną wolność, za sławę Narodu i sprawę Rodaków, była to wojna święta, bo wojsko polskie nie popierało widoków samowolności i despotyzmu, lecz broniło swobód po przodkach odziedziczonych, broniło granic własnej ziemi. Duma kilku Rodaków ¹⁾, wsparta obcą siłą, zniszczyła zbawienne przedsięwzięcia. Niepokonani, jesteśmy jednak rozprószeni. Błąkającym się pozostanie nam może tylko szukać na obcej ziemi zrzęczności wsławienia się. Wynurzam śmiało przed Wami mój sposób myślenia, gardzę prześladowaniem, a jeśli jest jaki rodzaj zemsty, który umysł szlachetny godziwie życzyć może, tej stale pragnąć będę. Nie skazi nas niekarność, której daje przykład strona przeciwna. Po raz ostatni, mili Koledzy, polecam Waszej pamięci tę cnotę. Ile Was zapewniam o dozgonnem przywiązaniu i szacunku, tyle poprzysięgam odrazę do imienia rosyjskiego«.

Wrażenie tą odezwą i jej treścią wywołane było zbyt silne, by miało minąć bez echa. O ile jednak wojsko przyjęło ją z radością, o tyle znowu król odczytał ją z największem nieukontentowaniem. Za pomieszczone w niej zwroty, skierowane przeciw Targowiczanom i Rosyi, Stanisław August nie mógł dłużej ścierpieć synowca swego tuż obok siebie. Polecił mu zaraz Warszawę opuścić i wyjechać za granicę.

¹⁾ Mowa tu o konfederacyi Targowickiej.

Książę wezwaniu uczynił zadość. Pojechał do Czech, widział się tam ze swą matką, a następnie z początkiem października 1792 przybył do opuszczonego ledwo przed paru laty, a tak sobie miłego Wiednia.

III.

Pobył księcia w Wiedniu zdawał się należeć do najprzyjemniejszych wyczasów po trudach obozowych ostatniej wojny. Wszędzie, nawet w sferach dworskich, był przyjmowany z wyróżnieniem. Młodzież witała go z zapalem jako bohatera ostatniej walki. Na cześć jego noszono pierścionki z jego podobizną. Lecz w gruncie rzeczy poza tymi świetnymi pozorami wspaniałego życia kryło się tam dużo wielkich i małych przeciwności, trosk i utrapień, których tłem i powodem była własna ojczyzna.

Książę pilnie wyglądał wszystkich wiadomości, jakie go od Warszawy i Polski dochodziły. Niestety, były one nad wyraz przykre. Donoszono mu o słabości na każdym kroku i ustępliwości względem wrogów, kochanego króla i dobrodzieja, o wzmagających się coraz więcej wpływach zdrajców — Targowiczian i wreszcie o knowaniach rosyjskich, które w końcu doprowadziły do drugiego rozbioru ziem polskich.

Na dobitkę Targowiczanie nie mogąc zapom-

nieć księciu jego otwartych i bezwzględnych występów, poczęli go nawet w Wiedniu dochodzić swą zemstą. Były to wprawdzie zrazu tylko drobne ukłucia, lecz ponieważ wymierzone były w najdrażliwszą strunę księcia, jego honor i zasady, wywierały na nim w wysokim stopniu przykre wrażenie. Otóż zażądali oni naprzód, by księżę odesłał krzyż zasługi, otrzymany za ostatnią wojnę, ponieważ wydali oni uchwałę, zakazującą »pod karami osobistemi« noszenia tej odznaki. Naturalnie, że księżę temu wezwaniu odmówił. Wkrótce potem zażądano, by złożył przysięgę, jako dowódca gwardyi królewskiej, na wierność dla Targowicy; księżę znowu odpowiedział odmownie, przyczem w wyrazach ostrych zaznaczył, że wobec nie piastowania tej godności nie potrzebuje też i przysięgi składać.

W dalszym ciągu Targowiczanie ogłosili nieważność wszelkich rozporządzeń księcia w czasie ostatniej wojny, jakoteż i wyroków przez sądy wojenne wydanych. Chciano nawet zniszczyć medal jemu przez wojsko na pożegnanie ofiarowany.

Księżę, choć patrzył z oburzeniem na tę wstrętną i przewrotną robotę jego wrogów, znosił to jeszcze jakiś czas cierpliwie. Wreszcie jednak wybuchnął, gdy Szczęsny Potocki w piśmie noworocznem do wojska jemu właśnie w sposób poniżający przypisywał wszystkie nieszczęścia ojczyzny. W liście do Szczęsnego godnie zbił wszystkie zarzuty, a wreszcie wyzwiał go na pojedynek.

Do spotkania jednak nie przyszło. Tchorzem podszyty Szczęsny uciekł do Petersburga i skrył się

za plecy rosyjskie, wymógł też, że za karę odebrano tak księciu, jak i jego matce wszystkie dochody z dóbr, jakie w Polsce posiadał. Wreszcie, jakby tego było za mało, postarano się u dworu austriackiego, żeby go z Wiednia wydalili.

Księżę, który wtedy żył tylko z tego, co mu Stanisław August posyłał, musiał się do rozkazu króla zastosować i udał się w lecie 1793 do Brukseli, gdzie właśnie przebywała jego siostra, Anna, zamężna Tyszkiewiczowa.

Belgia była wówczas jeszcze w władaniu Habsburgów. Rozłożona też tam była znaczna siła wojskowa, ponieważ Austria prowadziła właśnie wojnę z Francją. W Brukseli była główna kwatera austriacka. Tam też nawiązał księżę nanowo stosunki ze swoimi dawnymi znajomymi i towarzyszami broni. Czas mu też uchodził szybko wśród hucznych zabaw i uroczystości; jakie pod ten czas w mieście tem urządzano. Tak przeszła jesień i zima 1793 r.

Wtem wiosna 1794 r. przyniosła nowe, a do głębi poruszające serce księcia nowiny. Oto w kraju zerwał się naród do broni przeciw rządowi rosyjskim. W Krakowie wybuchło naprzód powstanie, na którego czele stanął niedawny towarzysz księcia i podwładny, generał Tadeusz Kościuszko. Coraz nowe szczegóły dochodziły do dalekiej Brukseli. Przykro trochę podziałała na księcia ta okoliczność, że twórcy tego ruchu nie zwracali się do niego, jego wprzód o niem nie zawiadomili, mimo, że wszak nie kto inny, tylko on był dowódcą wojsk narodowych w ostatniej wojnie z Rosją, że jawną

wzgardę okazywał Targowiczanom i ich sprzymierzeńcom.

Postanowił ksiązę jechać do Polski, nie by sięgać po władzę, lecz tylko by walczyć, choćby nawet jako prosty żołnierz w obronie niepodległości swojej ojczyzny. Wyjazd jego przyspieszył list Stanisława Augusta, błagający go, by jak najprędzej przyjeżdżał. Obawiał się bowiem król o swoje życie i chciał mieć w księciu bezpieczną tarczę w chwili jakiej ostateczności.

Wraz z dwoma generałami, swymi nieodstępnyimi od ostatniej wojny towarzyszami: Wielhorskim i Bronikowskim, ksiązę, wśród rozmaitych przygód i niebezpieczeństw, parukrotnie nawet dla zmylenia czujności nieprzyjaciół w przebraniu, przedostał się przez Niemcy, a potem przez Galicyę z końcem maja do obozu naczelnika Kościuszki pod Jędrzejowem. Tu został przyjęty przez wojsko z zapalem, przez starszych jednak dość zimno. Nie wiadano, czy przyjeżdża po władzę, czy też tylko brać udział w wojnie jako ochotnik. Sprawa w tym względzie się wyjaśniła zaraz na wstępie. Na zapytanie Kościuszki: »Czego ksiązę sobie życzy?« miał on odpowiedzieć; »Służyć prostym żołnierzem«.

Mimo takiej odpowiedzi, którą zresztą ksiązę zaraz czynem stwierdził, nie przyjmując ofiarowanego sobie dowództwa na Litwie, przecież nie umilkły przesady i uprzedzenia, żywione przez znaczną część narodu zupełnie niesłusznie do niego. Nieszczere i płaskie postępowanie króla Stanisława Augusta mściło się teraz i na niewinnym zupełnie

jego synowcu. Zarzucano mu jakieś tajemne wraz z królem porozumiewania się z wrogimi rządami. Książę Józef otoczony był nieufnością, a nawet wrogiem usposobieniem z dwu stron naraz. Bo i od Targowiczan, którzy mu nie mogli zapomnieć wojny 1792 roku, i od przeważnej części patryotycznych twórców ostatniego powstania.

Położenie jego było z tego powodu nad wyraz ciężkie, pogorszyło się zaś, gdy oświadczył chęć wyjazdu do Warszawy, by być bliżej królewskiego boku, ponieważ tem samem wszelkie tajemne domysły o wspólnej jego z królem przeciw powstaniu robocie, tem dobitniejsze, choć zgoła niesłuszne, znajdowały potwierdzenie. W końcu niemal cała opinia zwróciła się przeciw księciu z powodu jedynego jego niedopatrzenia.

Książę udał się do Warszawy, lecz choć obecnie przebywał u boku swego królewskiego stryja, przecież nie zaniedbywał i służby wojskowej. Brał udział w utarczkach bodaj jako ochotnik. W jednej z nich, mianowicie w bitwie pod Błoniem, nawet chlubnie się odznaczył, a pomyślny jej wynik głównie właśnie jemu przypisywano.

Tymczasem Warszawa stawała się punktem głównym dalszych kroków wojennych. Ściągnął do niej naczelnik Kościuszko ze swą armią. Podstąpiły też pod nią i otoczyły dokoła oddziały pruskie. Zaczęło się regularne oblężenie stolicy. Kościuszko, który zawsze o ile mógł, bronił księcia Józefa przed niesłusznymi napaściami rozmaitych ludzi, a nawet swojego najbliższego otoczenia, obecnie powierzył

mu dowództwo ważnej linii obronnej, mianowicie okopów miejskich, ciągnących się od Powązek aż po Młocin. Książę odniósł zrazu nad Prusakami znaczne korzyści. Wyparł ich z zajmowanego przez nich stanowiska i sam zajął ich pozycje. Lecz w parę dni potem oni ze swej strony napadli przeważnymi siłami na obóz księcia. Atak nastąpił w nocy zupełnie niespodziewanie. Wtedy książę, choć na pierwszy wystrzał znalazł się na zagrożonym stanowisku, mimo wyężdżających wysiłków swego oddziału, mimo gorącej walki do białego dnia, nie mógł podolać naporowi silniejszego znacznie nieprzyjaciela. Został zmuszony do opuszczenia niedawno zdobytego stanowiska.

Skorzystaliby z tego nieszczęśliwego przypadku ludzie księciu nieprzychylni. Poczuli o i rozsiewać najosobliwsze i wprost nieprawdopodobne o nim plotki. Skutek okazał się rychło. Bo oto opinia, już przedtem przeciw księciu się zwracająca, obecnie po tym nocnym szturmie tem silniej na niego narastała, nie szczędząc mu najgorszych, a przytem i najboleśniejzych, bo zupełnie niesłusznych zarzutów lekkomyślności i niedbałości, a nawet zdrady.

Na drugi też dzień książę zdał dowództwo nad tą częścią szanców generałowi Henrykowi Dąbrowskiemu, późniejszemu twórcy legionów, a sam usunął się od spraw wojskowych. Wprawdzie potem jeszcze, nie mogąc siedzieć bezczynnie, brał parukrotnie udział w działaniach wojennych, to jednak na ich losach już nie zaważył.

Zresztą wojna nie trwała już długo. Rozstrzygnęła ją potem nieszczęśliwa bitwa pod Maciejowicami, w której dostał się do niewoli naczelnik Kościuszko i tylu innych wybitnych działaczy tego powstania.

Księżę Józef, zajęty pod ten czas gdzieindziej, w tej bitwie udziału nie brał. Uniknął też później rosyjskiej niewoli. Nowe władze bowiem, ze względu na tak blizkie pokrewieństwo z królem Stanisławem Augustem, nie stosowały do niego wszystkich świeżo wydanych zarządzeń. Mógł więc księżę nienagabywany powrócić do Warszawy i mógł tam swobodnie przebywać.

Stan ten jednak nie trwał długo. Król, który wyjeżdżał na stały pobyt do Grodna, namawiał księcia, potem go upominał, a gdy i to nie pomogło, groźbą utraty majątku starał się go nakłonić do towarzyszenia mu w tej podróży i do pozostania na stałe z nim razem w Grodnie. Księżę jednakże odmówił, ponieważ miał zamiar przebywać w Warszawie. Zamiaru tego jednakże nie mógł urzeczywistnić. Stanął temu na przeszkodzie rząd rosyjski. Mianowicie z wielu stron poczęto wysyłać na księcia skargi do Petersburga, w których obwiniano go o rewolucyjny sposób myślenia. Naprzód więc za karę odebrano mu dobra na Litwie, następnie zaś polecono mu za pośrednictwem Stanisława Augusta zupełnie opuścić Warszawę i udać się za granicę.

Księżę, choć z niechęcią, zastosował się do tego rozkazu. Po raz więc drugi udał się na tułaczkę, po raz też drugi podróż skierował do Wiednia.

Lecz jakże głęboko odmienił swój sposób życia w tem mieście. Poprzednio wszędzie w najwyższych sferach dworskich mile przyjmowany, nawzajem chętnie wszędzie się udzielający, obecnie po doznanych zawodach i nieszczęściach, jakie dotknęły ojczyznę, zgorzkniały, usunął się w zacisze domowe. W dodatku odnowiły się dawne rany, trapiła księcia febra dotkliwa, choroba oczu, dokuczał mu wreszcie bardzo przykry stan majątkowy.

W zamknięciu i ciszy spędził tak w Wiedniu trzy lata, mimo, że go niejednokrotnie jeszcze wzywał Stanisław August do siebie do Grodna i mimo, że go powoływał do powrotu następcą Katarzyny II, cesarz Paweł I., w zamian za co ofiarowywał mu i znaczne korzyści majątkowe i wysokie godności w wojsku rosyjskiem. Książę stale odmawiał.

Dopiero śmierć Stanisława Augusta i związane z nią sprawy spadkowe zniewoliły księcia do opuszczenia Wiednia i udania się do Petersburga. Wyjechał tam na wiosnę 1798 roku i zabawił w stolicy rosyjskiej przez kilka miesięcy. Panujący wówczas cesarz rosyjski Paweł I. przyjmował go z wielką łaskawością, zamianował go przeorem zakonu maltańskiego, namawiał gorąco do wstąpienia w służbę wojskową rosyjską, a gdy te namowy nie pomogły, zamianował go bodaj honorowym generał-lejtnantem i szefem kazańskiego pułku kirasyerów.

Z Petersburga książę pojechał do Warszawy i osiadł w tem tak ukochanem przez siebie mieście odtąd już na stałe. Warszawa należała wówczas od

ostatniego podziału do Prus. Miał tam wiele zajęcia. Bo oto wraz z spadkiem po Stanisławie Auguste przypadły mu w udziale rozliczne kłopoty z wydobyciem tych pozostałości po królu, jakoteż z zaspokojeniem rozlicznych, często fałszywych nawet wierzycieli masy spadkowej. Ponieważ Warszawa pozostawała wtedy pod panowaniem pruskim, więc i ta cała sprawa schedy królewskiej wytoczoną być musiała przed sądy pruskie. Te naturalnie były księciu niechętne, utrudniały w rozmaity sposób ostateczne jej załatwienie. Księżę musiał w końcu o pomoc zabiegać w samym Berlinie u rodziny królewskiej. Ustały na skutek tego rozliczne przeszkody, lecz i tak cała ta sprawa ciągnęła się jeszcze lat kilka, została załatwioną dopiero na skutek wielkiej zawieruchy wojennej, jaka nadeszła od zachodu.

Zresztą ten kilkuletni okres w życiu księcia Józefa nie zaznaczył się niczem wybitniejszym.

Księżę przemieszkował w zimie w swym pałacu zwanym »Pod Blachą«, w lecie zaś przenosił się do odziedziczonych właśnie po stryju Łazienek lub do niedalekiej Jabłonny. Pędził życie wesołe, w otoczeniu dworaków, schlebiających mu, bo żyjących z łaski jego kieszeni.

Równocześnie, zdala od ojczystych zagonów, we Włoszech, Francji i Niemczech lała się krew polska, formowały się pod dowództwem generałów Dąbrowskiego i Kniaziewicza legiony polskie, mające dowodnie świadczyć, że »Jeszcze Polska nie umarła«, walczyły za obcą wprawdzie sprawę, ale

z myślą o własnej ojczyźnie; układano w ich obozach plany powrotu do niej z bronią w rękę. Tymczasem w robotach tych nie było księcia.

O ile jednak tę jego nieobecność zaznaczyć się godzi, o tyle znowu nie można jej potępiać. Było do tego wiele powodów. Jednym z najważniejszych był wszelako ten rozdźwięk, jaki się zrodził w dobie powstania kościuszkowskiego między nim a ludźmi, którzy doszli do kierowniczych stanowisk. Jeżeli po chlubnej wojnie 1792 roku tak zimno przyjęto księcia w obozie kościuszkowskim, w dwa lata później, to jak nieufnie by spoglądano na niego po temże powstaniu gdzieś w obozie legionowym we Włoszech, czy Niemczech. Książę czuł ten nastrój doskonale, zwłaszcza, że nie obyło się i bez namacalnych tego dowodów. Oto bowiem poczęły się pojawiać w druku rozmaite opisy ostatnich wypadków, skreślone przez byłych towarzyszy czy też podkomendnych księcia. W nich przedstawiono jego działalność w barwach ciemnych, co znowu nie było bez wpływu ujemnego dla księcia u czytelników tych pism.

Rozliczne te powody, drażliwej bardzo natury, skłoniły księcia do wstrzymania się od wszelkich czynniejszych wystąpień w tej dobie, choć może nieraz serce mu się rwało do tych tam szeregów walczących, dla tej sprawy, dla której wszak i on już parukrotnie ochotnie nadstawiał swą mężną pierś na kule wrogów.

Ale oto zbliżyły się już szybkim krokiem wy-

padki, które decydująco miały zaważyć na losach kraju całego, zbliżały się wypadki, które też miały wyprowadzić księcia na drogę czynu, otworzyć najpiękniejszy okres jego życia, zakończony bohaterką śmiercią, lecz i opromieniony świetnym blaskiem sławy.

IV.

Tymczasem od powstania kościuszkowskiego, od chwili, gdy ks. Józef był zmuszony usunąć się w zacisze domowe, na zachodzie Europy wyrastała nowa potęga, dzięki geniuszowi wojennemu jednego zrazu z jej generałów, a potem jej władcy. Potęgą tą była Francya, człowiekiem, który uczynił ją potężną, był cesarz Napoleon I., zwany później Wielkim. Rozszerzył on znacznie granice Francyi, rozniósł sławę i swoją i swoich żołnierzy nie tylko po całej Europie, ale i za morzami w Afryce i Ameryce.

Dotąd staczał on głównie walki z Austryą, którą niejednokrotnie pobił. Cesarz austriacki Franciszek wciąż z tego powodu myślał o odwecie, a że sam nie czuł się dostatecznie na siłach, starał się pociągnąć do wojny z Napoleonem przedewszystkiem Rosyę. W rzeczy samej cesarz rosyjski Aleksander I. zgodził się uderzyć wspólnie z Austryą na Napoleona, pragnął jednak przy tej sposobności uderzyć na sprzymierzone z Francją Prusy w tym celu, by odebrać im ziemie polskie, i utworzyć z nich Królestwo Polskie pod swoim berłem. Ale do tego

planu trzeba było wprzód zachęcić Polaków, przynajmniej najwybitniejszych. A do nich należał i ks. Józef, więc też cesarz Aleksander w wielkiej tajemnicy przez zaufane osoby, a przedewszystkiem za pośrednictwem swego ministra spraw zagranicznych ks. Adama Czartoryskiego, starał się wpłynąć na księcia, w duchu swoich planów. Lecz one już wkrótce się rozbiły. Aleksander nawiązał bowiem stosunki przyjazne z dworem pruskim, poniechał swego projektu polskiego i udał się naprzód do króla pruskiego, a następnie do swojego wojska, które pospołu z austryackim wystąpiło do walki z Napoleonem i dnia 2 grudnia 1805 poniosło pod Austerlitzem klęskę. Z nią upadły też na razie i wszystkie zamysły cesarskie, projektowane w sprawie polskiej.

Ale na tem się nie skończyło, bo oto już wkrótce potem był ks. Józef z innej strony nakłaniany do współdziałania w podobnych pracach ze strony znowu dworu pruskiego podejmowanych. Król pruski potrzebował wtedy Polaków, ponieważ szykował się do wojny z Napoleonem. Dlatego obiecywał i utworzenie wojska polsko-pruskiego i nadanie osobnej konstytucyi i inne na rzecz narodowości polskiej ustępstwa. Ks. Józefa starano się pozyskać do robót głównie wojskowych.

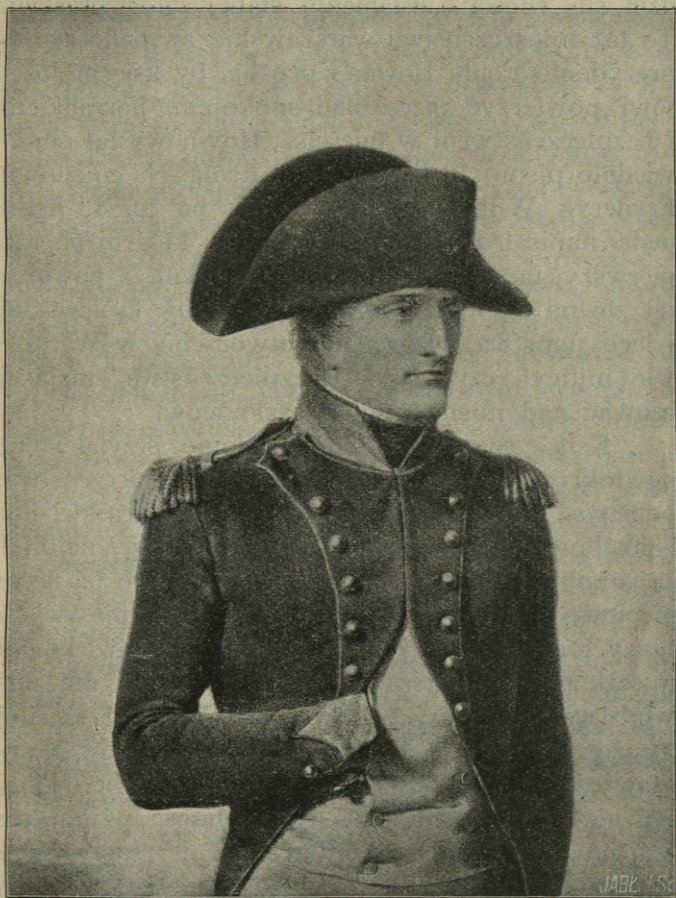
Lecz i te zamiary się nie udały. Podobnie jak poprzednio Rosya, tak znowu teraz Prusy zostały przez Napoleona sromotnie pobite pod Jeną. Napoleon zbił tam na miazgę wojska pruskie. Ich resztki zaś gnał wciąż przed sobą, uciekające w dzikim

popłochu na wschód. Nie dziwno, że w takim położeniu znowu upadły zamysły wskrzeszenia sprawy polskiej przez Prusy.

W każdym razie, mimo nawet, że zamysły te, tak pierwszy rosyjski, jak i następny pruski, nie doszły do skutku, sama ta okoliczność, że każdym razem zwracano się o pomoc i współdziałanie do ks. Józefa, świadczy dowodnie o tem, że książę, mimo swego wycofania się z życia publicznego, był wciąż jeszcze osobistością, z którą się nie tylko rodacy, ale i obcy poważnie liczyli.

Zresztą już najbliższa przyszłość wyznaczyła mu naczelne, jego w zupełności godne miejsce w narodzie. Po bitwie pod Jeną, w której Napoleon rozbił niemal zupełnie potęgę pruską, zwycięskie jego wojska szybko posuwały się w głąb krajów pobitego króla Fryderyka Wilhelma. Dnia 14 października 1806 r. odniosły wojska francuskie zwycięstwo pod Jeną i Auerstädt, 25 zajęły twierdzę Spandawę, 27 wjechał w tryumfie Napoleon do Berlina, a 3 listopada wkroczyła straż przednia do Poznania. Szybkim marszem zbliżali się Francuzi pod Warszawę.

W mieście tem zrazu starały się władze pruskie zataić cały rozmiar klęsk, poniesionych w ostatniej wojnie. Mimo to wieści o niej poczęły różnemi tajnemi drogami dochodzić do mieszkańców warszawskich. Wywoływały one ogólną radość, lecz wszelkie jej objawy tłumiała obecność załogi pruskiej i znacznego oddziału rosyjskiego, tudzież niepewność dalszych losów. Obawy pod tym wzglę-



Napoleon Bonaparte.

dem coraz wzrastały, im pewniej poczęły rozchodzić się wieści o ustąpieniu słabej załogi pruskiej. To też mieszczaństwo warszawskie zwróciło się do prezydenta rządu Hoyma z prośbą, by księciu Józefowi powierzyć pieczę nad spokojem, porządkiem i bezpieczeństwem w mieście. Hoym wysłał odpowiednie pismo 10 listopada do króla. Na co znowu Fryderyk Wilhelm III. odwrotnie, bo już 13 listopada napisał list do ks. Józefa, w którym po raz pierwszy nazywał go swoim kuzynem, a powołując się na jego przywiązanie do osoby królewskiej i jego państwa, wzywał do utworzenia w Warszawie milicyi czyli straży bezpieczeństwa, mającej czuwać nad mieniem jej mieszkańców.

Książę powierzone mu zadanie przyjął i bez odwołki zajął się tworzeniem straży bezpieczeństwa, ponieważ już 26 listopada wojska tak pruskie, jak i posiłkujące je rosyjskie, Warszawę i jej najbliższą okolicę opuściły, pozostawiając miasto na łasce niepewnych losów. Poniatowski na wstępie swych nowych czynności wydał odezwę, w której dziękował mieszkańcom Warszawy za powierzenie mu dowództwa tej straży. »Przyjąwszy — pisał w niej książę — stosownie do życzenia mieszkańców Warszawy, zezwoleniem władz rządowych zatwierdzoną, powierzoną mi od nich zwierzchność w mieście końcem utrzymania porządku i bezpieczeństwa wewnętrznego... z uczuciem wdzięczności przychodzi mi dziękować spółobywatelom moim za chlubny ten dowód ufności i zapewnić ich uroczyście, że w oczekiwaniu swoim zawiedzeni nie będą«.

Rola księcia, jako dowódcy straży bezpieczeństwa nie trwała długo, ponieważ już na drugi dzień po wymarszu załogi pruskiej, 27 listopada, wkroczyły do Warszawy pierwsze oddziały francuskie. Następnego dnia książę wyjechał naprzeciw ks. Murata, szwagra Napoleona, który jako dowódca przedniej straży wojsk napoleońskich urzędownie brał Warszawę w posiadanie francuskie. Na tem właściwie skończyły się jego czynności jako dowódcy straży bezpieczeństwa.

Natomiast zaczynały się odtąd nowe, stokroć większe i ważniejsze. W niedługim już czasie bowiem książę, zamiast dowództwa zebranych na prędkę mieszczan, miał objąć kierownictwo wszystkich sił polskich, miał się stać wyobrazicielem i wcieleniem wszystkich górnych dążeń narodowych Polaków, stopniowo, w ogniu bitew, wśród gorzkich trudów obozowych, miał się stać nie tylko generałem, czy naczelnym choćby wodzem, ale żywym uosobieniem polskiego żołnierza, polskiego honoru.

Nie bez znacznego wpływu na dalsze losy księcia było właśnie poznanie się jego z Muratem. Obaj oni, podobni do siebie usposobieniem, odznaczający się i wspaniałą postawą i rycerskością, od pierwszego niemal wejrzenia zaprzyjaźnili się. Skorzystał książę z tego już zaraz następnego dnia, przedstawiając szwagrowi cesarza Napoleona ciężkie położenie swego kraju, jego wciąż niepewny los i żądał w zamian za ofiarowaną ze strony polskiej w dalszej wojnie pomoc jakichś poręczeń co do przyszłości

Polski ze strony Napoleona. Żądanie to było całkiem słuszne, bo i jakże Polacy mieli wspomagać pieniędzmi, swem mieniem, swą krwią plany Napoleona, gdy za oczekujące ich ofiary nie mieli żadnych przyrzeczeń co do wskrzeszenia ich ojczyzny.

Słuszność przedstawień księcia w tej mierze uznawał w zupełności Murat, lecz nie był sam w stanie dać na to żadnej wyczerpującej odpowiedzi, odniósł się więc z tem do Napoleona, a przez ten czas ustawicznie nakłaniał ks. Józefa do wzięcia czynnego udziału w przygotowaniach do dalszej wojny z Rosyą. Księżę jednakże, wyczekując odpowiedzi cesarskiej, wciąż zwlekał ze stanowczem postanowieniem.

Tymczasem Napoleona oburzyły stawiane mu warunki, to też zwymyślał Polaków od samolubów, a ks. Józefa osądził za to jako człowieka lekkomyślnego i cieszącego się w Warszawie małym zaufaniem. Mógł zaś tem łatwiej z lekceważeniem do tych żądań i do osób je stawiających się odnosić, ponieważ znaczna część narodu odrazu i bez zastrzeżeń stanęła po jego stronie. Jednym z pierwszych, który przybył z daleka na wezwanie Napoleona, był zasłużony wódz legionów, generał Henryk Dąbrowski. Jego też wysłał cesarz, bawiący podówczas w Poznaniu, do Warszawy, jako przyszłego dowódcę, celem urządzenia tam siły zbrojnej polskiej.

Przybycie generała do Warszawy dnia 6. grudnia przyspieszyło wkońcu postanowienie ks. Jó-

zefa. Widział on, że dłuższa zwłoka i tak na nicby się nie przydała, że Napoleon nie jest obecnie skłonny do dania przyrzeczeń w sprawie odbudowania państwa polskiego i że dalsza bezczynność księcia wtedy, gdy już znaczna część narodu oświadczyła się za Napoleonem, nie tylko jemu samemu, ale i samej sprawie może przynieść złe następstwa. To też zaraz po przybyciu Dąbrowskiego do Warszawy, tegoż samego wieczora ks. Józef miał dłuższą rozmowę z Muratem i zgodził się na objęcie dowództwa części wojska polskiego.

W następstwie tej rozmowy Murat już następnego dnia wysłał do księcia odpowiedni rozkaz, wzywający go do objęcia stopnia, jaki piastował w dawnym wojsku polskim, t. j. generał-lejtnanta i do przedłożenia mu odpowiednich wniosków do utworzenia oddziałów wojskowych w prowincjach polskich, świeżo przez wojska francuskie zajętych.

Była to chwila w życiu księcia bardzo ważna. Przybierając bowiem dawny stopień wojskowy, nie tylko, że zaczynał nowe życie, czynu pełne, ale dowodnie stwierdzał, że przyszłość narodu polskiego zależy od Napoleona, okazywał wiarę, że za jego przewodem Polacy odzyskają niezależność i tej wierze i sztandarowi, tej właśnie chwili obranemu, pozostanie niezachwianie stałym aż do końca życia, w obronie jego walcząc i bohatersko na polu chwały ginąc.

Żywo zajął się teraz ksiączę nowymi obowiązkami, które były liczne, ciężkie i trudne. Ksiączę musiał się zająć nie tylko utworzeniem siły zbrojnej

w departamencie warszawskim, ale też równocześnie dbać o rozmaite potrzeby także dwu innych dywizji tworzących się: jednej pod dowództwem generała Dąbrowskiego w Poznańskim, drugiej pod generałem Zajączkiem w Kaliskim, ponieważ został on mianowany dyrektorem wojny w komisji rządowej warszawskiej.

Praca więc była nielada, jeżeli się zważy, że wszystko trzeba było zaczynać od początku, że nie prawie nie było przygotowanego i, że Napoleon ustawicznie domagał się pośpiechu w wysyłaniu na plac wciąż w międzyczasie toczącego się boju coraz nowych, gotowych już całkowicie pułków polskich. Pobór rekruta, ubranie go, uzbrojenie, wyćwiczenie, nakarmienie, były to rzeczy w owoczesnych warunkach bardzo trudne, bo choć na ludziach nie zbywało, to jednak dawał się odczuwać dość często brak broni, a niemal wciąż brak pieniędzy.

Książę Józef, zajęty tą pracą organizacyjną, na plac boju nie wyruszał, dzień, a często gęsto i noc trawiąc nad uczynieniem zadość obowiązkom przez niego przyjętym, zwłaszcza, że i duma jego własna i interes narodu mocno by wobec Napoleona ucierpiały, gdyby on im nie dorósł. Mimo więc rozliczne trudności, pracował on bez przerwy. Przecież jednak z początku jego wysiłki nie znalazły uznania należytego ani u cesarza Napoleona, ani niestety u swoich własnych ziomków. Napoleon po przybyciu w połowie grudnia 1806, uprzedzony już do księcia z powodu stawianych przez niego warunków, odnosił się do niego nieufnie. Podejrzliwość tę roz-

myślnie podsycali rozmaite osoby blisko cesarza stojące, a do księcia wrogo jeszcze z lat dawnych usposobione. Takich niechętnych sobie miał książe wielu, którzy mu nie mogli darować i jego pokrewieństwa z królem Stanisławem Augustem i nowej godności dyrektora wojny w tworzącym się wojsku polskim.

Dużą przeszkodą w pracach księcia były zwłaszcza wciąż mocno naprężone stosunki z dwoma jego kolegami, dowódcami dwu innych dywizji, generałem Dąbrowskim, a przede wszystkim Zajączkiem, który nie ominął żadnej sposobności, by księciu nie wyrządzić jakiej przykrości lub nawet krzywdy przez oczernienie go przed Napoleonem lub choćby przez zwykłe nieposłuszeństwo. Zatargi te w krótkim już czasie tak się zaostrzyły, że cesarz postanowił w maju 1807 r. odebrać księciu stopień dyrektora wojny, a na jego miejsce zamianować Dąbrowskiego, księcia wysyłając na plac boju, jako zwykłego generała dywizji.

Dowiedział się o tem postanowieniu wczas jeszcze książe, a zachowaniem się swoim w tej sprawie tyle dokazał, że nie tylko nie utracił dyktorstwa wojny, ale nawet zdołał pozyskać bodaj w części zaufanie Napoleona do swojej osoby. Wkrótce zaś nadeszły wypadki, które stanowisko jego jeszcze mocniej ubezpieczyły.

W tym czasie bowiem wciąż trwała wojna Napoleona z Prusami i posiłkującą je Rosyą. Mimo zwycięstw francuskich wynik jej dość długo się ważył. Przechyliła wreszcie szalę zwycięstwa na

stronę francuską wielka bitwa pod Friedlandem, po której zawarł cesarz Napoleon z Aleksandrem pokój w Tylży. Pokój ten i dla Polaków miał doniosłe znaczenie. Kładł podwaliny pod przyszłe niezależne państwo polskie, tworząc z ziem polskich zaboru pruskiego osobne państewko pod nazwą »Księstwa Warszawskiego«. Napoleon w ten sposób urzeczywistniał powoli swe zapowiedzi i dowodnie stwierdzał, że nie omylili się ci Polacy, którzy poszli za nim i w jego szeregach przelewali krew.

Księstwo to otrzymało z rąk Napoleona własną konstytucyę i rząd, na czele którego stanął król saski Fryderyk August. W rzeczach ogólnych, zwłaszcza wojskowych, zależało ono w zupełności od Napoleona, cesarz bowiem, powołując je do życia, miał w pierwszym rzędzie na widoku względy wojskowe, chciał po prostu mieć w Księstwie najbardziej na wschód przeciw Austrii, a głównie Rosyi wysuniętą wojskową placówkę. Dlatego też w założonem świeżo Księstwie główną uwagę skierował on na stronę wojskową.

Ten najważniejszy posterunek: ministerstwo wojny otrzymał właśnie ks. Józef. Jego dotychczasowe kilkumiesięczne wysiłki zostały przez Napoleona, mimo rozliczne, oczerniające go podszepty, należycie ocenione. Po zawarciu pokoju w Tylży otrzymał on w dowód uznania oznakę orła złotego Legii honorowej, a następnie, gdy władze Księstwa zostały już utworzone, został mianowany ministrem wojny. Nie znaczyło to, że był zarazem i naczelnym wodzem wojsk polskich, ponieważ dowództwo



Fryderyk August, książę Warszawski.

ich powierzył Napoleon generałowi francuskiemu, marszałkowi Davoutowi; lecz w każdym razie był księżę wówczas bodaj moralnym przedstawicielem wojska, a co za tem idzie i narodu polskiego.

Na tem nowem stanowisku czynności księcia były niemniej jak przedtem liczne i mozolne. Trzeba było temu wszystkiemu, co przedtem robiono dorywczo i tymczasowo tylko, nadać kształt stały. Według konstytucyi siła zbrojna Księstwa miała liczyć 30.000 wojska. Ilość taka, a nawet i większa, stała już przed utworzeniem Księstwa, za dyrektoryatu ks. Józefa pod bronią, więc z zebraniem ludzi trudności już nie było, ale chodziło teraz o to, aby tym szeregom nadać jednolitą organizację, aby je jednakowo ubrać, uzbroić, jednakowo wyćwiczyć i te same nadać im przepisy co do karności i obrotów wojskowych. Wszystkie te sprawy spoczywały na barkach księcia. Dalszą trudnością był wciąż jeszcze niewyrównany stosunek do obu generałów: Dąbrowskiego i Zajączka, jakoteż i do głównie dowodzącego wojskiem Księstwa, a nieufnie do księcia się odnoszącego marszałka Davouta. Prócz tego jedną z najważniejszych trudności w utrzymaniu wojska stanowił brak pieniędzy w skarbcu małego państewka.

Minister wojny więc miał trudności i kłopotów wiele. Postępowaniem swoim pełnem godności i taktu potrafił wiele różnic wyrównać, gorliwością zaś w pracy umiał to nowe wojsko podnieść na odpowiedni stopień tak wyszkolenia wojskowego, jak i zewnętrznej postawy. Jeden z naocznych świad-

ków tak opisuje ówczesną armię: »Wprawdzie wojsko nasze było jeszcze w formacyi, ale dzielny duch ożywił wszystko. Piechota prawdziwie doskonała. Jazda potrzebowała jeszcze wyrobienia. Artylerya miała mało oficerów wykształconych, ale żołnierz dosyć wyrobiony. Cała armia miała postawę bardzo dobrą, żywość, wesołość i zaufanie rokowały najlepszą nadzieję«.

Swą mozolną i usilną pracą, tudzież otwartością charakteru, potrafił nawet księżę pozyskać względy nieufnego dotąd i wymagającego bardzo wiele, swego bezpośredniego przełożonego, marszałka Davouta. To też gdy Davout wyjeżdżał do Niemiec z początkiem września 1808 r., księciu powierzył naczelne dowództwo nad wojskiem polskim. Urzędownie doniósł mu o tem w słowach bardzo pochlebnych, tak pisząc do księcia w liście z dnia 3 września 1808 r.: »Ważne dowództwo, które przekazuję Waszej Książęcej Mości, z mojego własnego popędu, będzie z zadowoleniem przyjęte przez Cesarza. Proszę je przyjąć, jako dowód mego zupełnego zaufania, jak również szacunku, który żywię dla Niego, i którego nic nie wzruszy, o czem Wasza Książęca Mość może być przekonana, gdyż uczucia te powstały po poznaniu zasad skrupulatności i prawości, które są podstawą Jego charakteru«.

Do Napoleona zaś o powierzeniu mu naczelnego dowództwa pisał Davout: »Mogę wydać najlepsze świadectwo o ks. Poniatowskim. Badałem go od dawna i być może, skutkiem uprzedzeń mego umysłu, powziąłem względem niego podejrze-

nie, lecz odkąd sprawy przybierają poważniejszy obrót, ujawnia on w swoim postępowaniu otwartość budzącą pełne moje zaufanie. Zarzucano mu słabość charakteru, lekkomyślność, ale jest to człowiek uczciwy i człowiek honoru«.

I nie zawiódł księżę położonego w nim zaufania. Owszem, dowiódł już w najbliższym czasie czynnem, że zawsze na jego prawosć i honor liczyć można.

V.

Nad Księstwem Warszawskim, już wkrótce po jego utworzeniu, poczęły się ściągać groźne chmury. Ledwie poczęło się urządzać, wprowadzać ład i goić rany, zadane ostatnim wysiłkiem wojennym, już nowa zaczęła mu zagrażać zawierucha. Szła ona od południa, najazd na Księstwo gotowała Austria. Chciała ona skorzystać z kłopotów Napoleona, zajętego ciężką i trudną walką w Hiszpanii i rzucić się na niego i sprzymierzone z nim Księstwo, by pomścić sromotną klęskę, poniesioną niedawno na polach austerlickich.

Już więc pod koniec 1808 roku poczęto w Wiedniu przygotowywać się do nowej wojny. Robiono to cicho, tak, by Napoleona zaskoczyć i nie dać mu czasu ani sposobności do należytego przygotowania się do czekającej go walki. I w rzeczy samej Napoleon zupełnie nie spodziewał się jakichkolwiek ze strony Austrii kroków wojennych. Na grożące niebezpieczeństwo uwagę cesarza zwrócił pierwszy ks. Józef Poniatowski.

Od grudnia 1808 począł on donosić już to Davoutowi, już to wprost samemu cesarzowi o po-

dejranych ruchach wojsk austriackich i różnych przygotowaniach czynionych w Galicyi. Pisma ostrzegawcze szły od księcia do głównej kwatery francuskiej coraz gęściej w miarę nadchodzących nowin i coraz większej pewności już w niedługim czasie wybuchnąć mającej wojny. Przekonały wreszcie cesarza, który szybko opuścił Hiszpanię i rozpoczął ze swej strony gwałtowne zbrojenia przeciw Austrii.

Z tego też powodu otrzymał ks. Józef rozkazy do poczynienia odpowiednich przygotowań wojennych w Księstwie, przyczem został dnia 21 marca 1809 r. zamianowany już rzeczywistym naczelnym wodzem wojsk polskich.

Z nadchodzącą burzą wojenną położenie księcia było bardzo trudne. Miał się szykować do wojny, podczas gdy siły jego armii były bardzo słabe. Wprawdzie ogół wojsk Księstwa przenosił liczbę 30.000 głów, ale znaczna część znajdowała się zdala poza granicami Księstwa, przeważnie w Hiszpanii, wzięta na utrzymanie francuskie, z powodu ubóstwa skarbcza polskiego. To też w samem Księstwie było 2 stycznia 1809 r. ledwo 17.397 żołnierzy, siła, zgoła niewystarczająca do jakichś poważniejszych działań. Dla podwyższenia nieco stanu poszczególnych pułków nakazano wprawdzie pobór nowych rekrutów, lecz szedł on bardzo wolno i nie wiele przyczynił się do powiększenia liczbowego armii polskiej. Twierdze też znajdowały się w nienajlepszym stanie. Brak zaś pieniędzy i wkońcu czasu nie pozwalały na rozwinięcie w całej pełni koniecznych przygotowań.

Tymczasem niebezpieczeństwo zagrażało Księstwu większe, aniżeli tam przypuszczano. Ogólnie bowiem mniemano, a tego samego zdania był nawet sam Napoleon, że cały napór sił austryackich skierowany będzie tylko na kraje niemieckie, sprzymierzone z Napoleonem, Księstwo zaś ta nawała ominie. Ale stało się inaczej. Bo oto rankiem 15 kwietnia 1809 r. przekroczył granice Księstwa korpus VII. wojsk austryackich, wynoszący 33.000 ludzi pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda d' Este; szedł prosto szybkim marszem na Warszawę. Przykra to była niespodzianka. Ks. Józef powiadomiony o tym ruchu wojsk austryackich, niemal w ostatniej chwili pchnął wszystkie, jakie miał pod ręką siły w kierunku Raszyna, małej wioski, położonej blisko Warszawy, w tym celu, by bronić z tej miejscowości drogi wiodącej do stolicy. Prócz tego zajął jeszcze piechotą małą wioskę, położoną przed Raszynem, nazywającą się Falenty, a jazdę wysłał naprzód dla wybadania kierunku marszu nieprzyjaciela.

Dnia 16, 17 i 18 kwietnia stoczyli nasi ułani szereg drobnych utarczek bez wybitniejszego wyniku, ponieważ wciąż musieli się cofać przed znacznie przeważającymi siłami austryackimi. Dopiero pod Nadarzynem stoczyli oni poważniejszą bitwę, lecz i wtedy umyślnie już usunęli się, by odsłonić stojącą w gotowości do boju linię naszej piechoty w Falentach.

Austriacy, wciąż naprzód postępujący bez zwłoki, rzucili się po drugiej popołudniu tegoż

19 kwietnia na dwa bataliony broniące Falent. Zawrzała zacięta walka, rozgrywająca się głównie około lasku olszynowego, leżącego przed Falentami. Dość długo wydzierano go sobie wzajemnie, wkońcu jednak znaczna, bo czterokrotna przeszło przewaga sił austriackich poczęła brać górę. Na tę właśnie chwilę przyjechał na plac boju ks. Józef. Stał on na początku bitwy na wzgórku koło kościółka rasyńskiego; skoro go jednak doszedł odgłos strzałów działowych, rzucił się natychmiast do Falent. Zastał właśnie cofający się batalion VIII. pułku piechoty. Gdy to ujrzał dzielny ten wódz, zsiadł z konia, pochwycił karabin szeregowca, stanął na czele batalionu i pierwszy poprowadził go na nieprzyjaciela celem odzyskania straconej już olszyny. Zimna krew, przytomność i odwaga wodza, zagrzały żołnierzy do nowych wysiłków. Atak się powiodł, lecz wobec coraz silniejszego naporu Austriaków nie można się było w zdobytej olszynie utrzymać. Polskie bataliony poczęły więc cofać się do swej głównej pozycji w Raszynie. Po drodze wciąż jednak trwał zacięty bój. Dużo zwłaszcza szkodziła szeregom polskim austriacka artylerya, która zasypywała gradem kul cofających się wzdłuż długiej szosy. Ks. Józef znajdował się wszędzie, gdzie groziło jego szykom niebezpieczeństwo; cudem też prawie ocalał i nie odniósł żadnej poważniejszej rany, mimo, że wszyscy otaczający go oficerowie krwią zboczyli pobojuwisko lub przynajmniej mieli pod sobą ubite konie.

Od piątej godziny toczyła się bitwa w dalszym ciągu już około samego Raszyna. Austriacy kilkakrotnie usiłowali zdobyć tę wieś, lecz wszystkie ich ataki zostały odparte. Bój trwał do wieczora. Nadchodząca noc przerwała go. Polacy utrzymali się na pozycyi, a Austriacy nie wiele wskórawszy, cofnęli się. Przez cały czas tej bitwy wszystkim przykładem świecił wódz wojsk polskich. Jemu też głównie zawdzięczać należy, że młoda armia Księstwa pierwszy ten chrzest bojowy w walce z wybornie wypróbowanym i trzykrotnie niemal przeważającym nieprzyjacielem odbyła tak chlubnie, utrzymując się przez cały czas boju na swej pozycyi.

Ciężka jednak troska zasepiła czoło wodza, co dalej czynić należy. Wojsko wprawdzie przez cały czas bitwy dzielnie się trzymało, ale pozycja raszyńska była za słabą, by mogła stanowić poważniejszą przeszkodę w posuwaniu się nieprzyjaciela ku Warszawie, do której zresztą mógł dojść innemi, niebronionemi zupełnie drogami. Ponadto armia polska była wycieńczona tym bojem, dziesiąta jej część trupem zaścieliła pobojowisko, wojska zaś saskie, które w tej bitwie brały udział, według dawniej otrzymanych rozkazów opuściły jeszcze tego samego wieczora szeregi walczących, udając się do Drezna.

Naczelny wódz polski zdawał sobie doskonale sprawę z położenia nad wyraz trudnego, w jakim się i on i jego armia znajdowała. Dla naradzenia się nad dalszymi krokami zwołał zaraz po północy radę wojenną, która uchwaliła opuścić dotych-

czasową pozycję pod Raszynem, jako nie dającą się dłużej utrzymać, i cofnąć się do Warszawy, na której szaniec wytoczono działa. Następnego dnia jednakże postanowiono opuścić też i samą stolicę, której niepodobna było dłuższy czas bronić. Ks. Józef więc nawiązał rokowania w tym względzie z wódczem austriackim arceks. Ferdynandem i uzyskał zawieszenie broni, podczas którego wojsko polskie miało opuścić Warszawę z bronią i bagażami.

Ten krok wywołał w mieście ogólne oburzenie. Ks. Józef wciąż jeszcze mimo swej chlubnej działalności jako minister i wódz naczelny miał wielu sobie nieprzychylnie, a nawet wrogo usposobionych. Świeża jeszcze była pamięć jego królewskiego stryja Stanisława Augusta i wesołe życie samego księcia. To też obecnie, gdy wydawał w ręce Austriaków stolicę, ogół począł wietrzyć w tem zdradę, zgoła niesłusznie podejrzewając księcia o zaprzeczenie sprawy narodowej dawnym towarzyszom broni. Z tego to powodu poczęto i wśród wojska i wśród ludności stolicy jątrzyć przeciw księciu, który niejednokrotnie musiał słuchać miotane na siebie obelgi, jak: zdrajca, sprzedawczyk, a nawet słuchać gwizdu na siebie ciskanych kamieni. On, który przed kilkunastu godzinami wiódł bohaterstwo z karabinem w rękę swoje hufce do ataku, teraz bolał wielce, ponieważ doskonale odczuwał całą bezzasadność robionych mu zarzutów.

Widząc taki nastrój ludności, począł książę sam obawiać się, czy bitwa raszyńska i podpisana z arcyksięciem Ferdynandem umowa co do opusz-

czenia Warszawy nie rzuci ciężkiej plamy na jego życie, nie stanie się powodem jego upadku. Na szczęście tak nie było. Przechulone na punkcie honoru sumienie księcia tym razem myliło się. Bitwa raszyńska była wspaniałym wstępem do dalszych bohaterskich czynów oręża polskiego, otwierała najświetniejszą kartę życia naczelnego wodza i kładła podwaliny pod niczem niezatartą jego po dni najdalsze pamięć w narodzie.

Dnia 23 kwietnia 1809 r. opuściła armia polska Warszawę i zajęła pozycję w trójkącie trzech twierdz Pragi, Modlina i Sierocka. W pierwszej chwili miał ks. Józef zamiar pozostawić niemal całą piechotę w twierdzach, z jazdą prowadzić walkę podjazdową. Na radzie wojennej odbytej 24 kwietnia w Modlinie postanowiono jednakże, w myśl dawniejszych wskazówek Napoleona, skierować marsz do słabo bronionej przez wojska nieprzyjacielskie Galicyi.

Pochód ten, podjęty w parę dni później, zapisał się chlubnie i w życiu ks. Józefa i dowodzonej przez niego armii. Już 26 kwietnia pobity został generał austriacki Mohr pod Grochowem, na oczach całej ludności warszawskiej.

W parę dni później w nocy z 2 na 3 maja został wzięty przez kolumny polskie bardzo ważny szaniec broniący mostu, stawianego przez Austriaków na Wiśle pod Górą. Odtąd droga do Galicyi stała się otworem.

Dnia 5 maja byli nasi ułani w Stanisławowie i Siedlcach, następnego dnia strzelcy konni wypę-

dzili z Kocka austryackich huzarów, a w trzy dni potem zajęto Lublin. Po drodze wszędzie witano z radością i zapalem narodowe hufce, a w Lublinie urządzili mieszkańcy tryumfalny niemal wjazd ks. Józefowi.

A radość ta nie tylko objawiała się owacyjnemi przyjęciami. Mieszkańcy oswobodzonej Galicyi z największą gotowością dostarczali wszelkich środków żywności, ubrań, podwód, wskazywali lepsze drogi i wreszcie najważniejsza, sami się ochotnie zaciągali pod ojczyste znaki. W krótkim też czasie zdobyto dwie austryackie twierdze: 18 maja Sandomierz, a 21 maja Zamość; część załogi tych twierdz, porzucając służbę austryacką, bezzwłocznie przeszła w szeregi polskie.

Armia dowodzona przez ks. Józefa w zwycięskim swym pochodzie zajęła niezadługo całą niemal wschodnią Galicyę wraz ze stołecznem miastem Lwowem. Wciąż potem posuwała się ku zachodowi, ustawicznie pomnażając swoje szeregi napływającymi zewsząd ochotnikami.

Mimo jednak te świetne postępy oręża polskiego wciąż jeszcze znaczne niebezpieczeństwo groziło Księstwu Warszawskiemu i jego bohaterskiej armii. Wyływało ono z ogólnego położenia politycznego, które w tym czasie nie przedstawiało się nazbyt różowo. Oto bowiem Napoleon stoczył był pod Aspern i Esslingen niepomyślne bitwy. To zachęciło i Rosyę, która była w sprzymierzu z Napoleonem, i Prusy do tajnego porozumienia się z Austryą, by wspólnie przy nadarzającej się sposobności

napaść na Francuzów. Ten zwrot nie był bez następstw i dla Polaków. Rosya bowiem postanowiła skorzystać z oczekiwanej porażki Napoleona, napaść na Księstwo Warszawskie i wcielić je do swego państwa. Zadanie to miał wykonać znaczny korpus rosyjski, który pod pozorem niesienia pomocy Napoleonowi stał na granicy galicyjskiej.

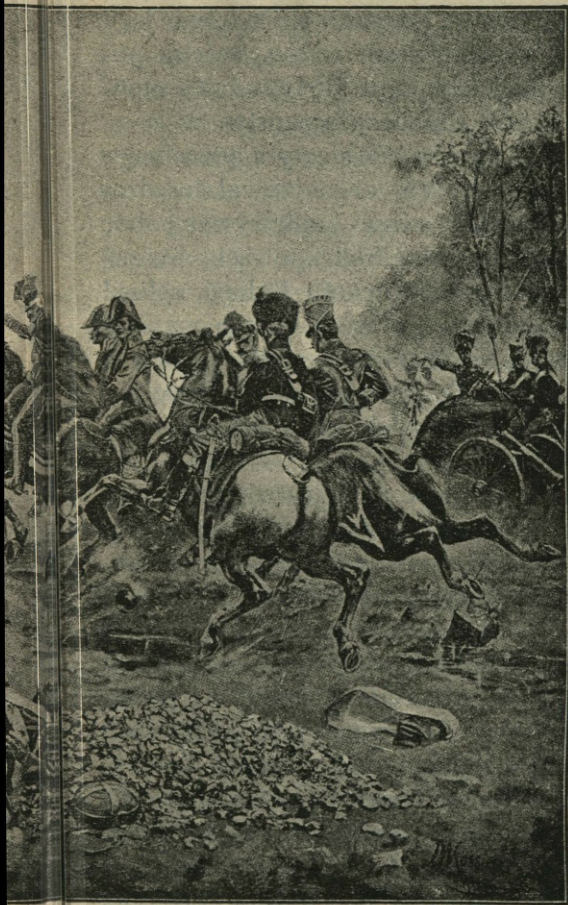
Gdy ks. Józef wyswobodził już znaczną część Galicyi z pod panowania austriackiego, wówczas i ten korpus rosyjski wkroczył tam pod pozorem wspomaganie wojska polskiego w walce z Austryakami. Lecz jego dowódcy unikali za wszelką cenę jakiegokolwiek bądź starcia z wojskami austriackimi, a zważali tylko, by jak największą część kraju zagarnąć swoimi oddziałami, w tym jedynie celu, ażeby przy późniejszych układach pokojowych uznać ją za swoją wojenną zdobycz.

Wrogię te dla Księstwa zamiary swoich rosyjskich sprzymierzeńców wybornie przenikał ks. Józef. Miał też aż nadto dowodów ich dwulicowej gry. Dostał on w swe ręce listy wodza rosyjskiego, pisane do arcyksięcia Ferdynanda, stwierdzające niedwuznacznie jego podejrzone zamysły, miał też książkę wkrótce potem i namacalne tego świadectwo przy zdobyciu przez Austryaków Sandomierza, gdzie dwie dywizye rosyjskie, tuż obok stojące, ani na krok nie posunęły się, by nieść odsiecz broniącym się tam bohatersko Polakom.

Jak z tego widać, ks. Józef był wzięty we dwa ognie. Z jednej strony przez otwartego nieprzyjaciela austriackiego, z drugiej przez tajnego wroga



Bitwa pod Reszów



d Resnem.

udającego sprzymierzeńca, Rosyanina. Położenie jego z tego powodu było nad wyraz trudne. Świetne pozory wspaniałe udanej kampanii kryły w sobie mnóstwo poważnych trosk i niebezpieczeństw.

Księżę jednak nie zrażał się tytuł przeciwnościami. Świeżo zdobyty kraj organizował, osadzał nowe władze z ramienia swego, nakazywał pobór rekrutów i dostarczenia wszelkich potrzeb, by zaś powstrzymać Rosyan w zajmowaniu Galicyi, ogłosił cały ten kraj jako zdobyty na rzecz Napoleona. Nie na wiele to się wprawdzie narazie zdało, ponieważ wojska rosyjskie coraz dalej w głąb Galicyi się posuwały, ale przy późniejszych układach przecież miało donioślejsze znaczenie.

Tymczasem coraz nowe zwycięstwa oręża polskiego zmusiły arcyksięcia Ferdynanda do opuszczenia naprzód samej Warszawy, a następnie do wolnego wycofywania się z Księstwa. W ślad za nim następował, wciąż staczając walki, i korpus ks. Józefa. Austriacy posuwali się wciąż na zachód w kierunku Krakowa, wreszcie schronili się do tej starej stolicy polskiej. Tuż za nimi następowała ścigająca ich straż przednia armii polskiej. Generał austriacki widząc niepodobieństwo utrzymania się przez czas dłuższy w tem mieście, nawiązał rokowania o zawieszenie broni i o wolne opuszczenie Krakowa. Jenerał Roźniecki, dowodzący przednią strażą, zgodził się na podane warunki i podpisał umowę, mocą której miasto miało przejść następnego dnia w ręce polskie.

Tu jednakże wódz austriacki dopuścił się zdrady, rokowania te podjął umyślnie, aby zyskać na czasie, a wśród tego porozumiał się z dowódcą niedaleko stojących sił rosyjskich i jemu jeszcze tegoż samego wieczora, wbrew tamtej umowie, miasto wydał.

Dnia 15 lipca wczesnym rankiem wyruszył do Krakowa ks. Józef na czele swego sztabu i pułku ułanów Tyszkiewicza. Wtem na drodze, wiodącej na most, stanął przed nim żywy mur rosyjskich huzarów, wzbraniający mu dalszego przejazdu. Krok ten w najwyższym stopniu oburzył polskiego wodza. Pierwszy rzucił się całą siłą naprzód. Nie wytrzymali natarcia huzarzy, kilku spadło z koni, reszta się rozstała, a przez otwartą w ten sposób drogę przejechał książę i jego orszak. W ten sposób został Kraków zdobyty na rzecz sprawy polskiej, a choć wojska rosyjskie wciąż jeszcze w nim przebywały i to nawet dość długo, to jednak rzeczywistym panem w mieście był ks. Józef, a nie dowódca rosyjski.

Wdzięczny za oswobodzenie, Kraków zgottał księciu wprost owacyjne przyjęcie; wciąż też urządził na cześć jego ucztę i zabawy, mimowoli starał mu się tą serdecznością i oznakami miłości, okazowanymi mu na każdym kroku, załagodzić przykre wrażenia ostatniego pożegnania księcia z drugą stolicą Polski, Warszawą. Radość wszystkich powiększyła się jeszcze, gdy nadeszły wieści o wielkiem zwycięstwie Napoleona pod Wagram i rozpoczęciu rokowań pokojowych.

Uniesieniom i rozmaitym owacyom z tego powodu nie było końca, skupiały się one wszystkie na szlachetnym wybawcy Krakowa, ks. Józefie. Lecz myliłby się ten, kto by myślał, że ksiązę pod ten czas oddawał się tylko zabawom. Przeciwnie, cały niemal dzień, o ile nie wyjeżdżał na przegląd wojsk, trawił zamknięty w swoich pokojach na pracy, najczęściej ze szefem sztabu, znakomitym znawcą wojskowości, generałem Fiszerem, głównie oddany robotom organizacyjnym świeżych pułków przez Galicyę dostarczonych, choć też i nie zaniedbywał innych, z życiem umysłowem mieszkańców Krakowa związanych.

Dnia 20 października 1809 r. został uroczystie wśród grzmotu dział wawelskich ogłoszony pokój zawarty w Schönbrunnie między Napoleonem, a cesarzem austriackim Franciszkiem. Był on dla Księstwa Warszawskiego pierwszorzędnej wagi. Kładł bowiem nie tylko koniec ciągłej niepewności jutra, ale co więcej pomnażał obszar Księstwa niemal w dwójnasób, dołączając do niego, jako zdobycz wojenną tak zwaną Zachodnią Galicyę wraz z Krakowem.

Taki świetny wynik bojów otoczył wtedy imię księcia prawdziwym blaskiem sławy. Zamknął on usta nawet najzaciętszym wrogom księcia. Wszyscy już należycie oceniali jego chwalebne wysiłki, jego najlepsze chęci, jego czyste zamiary służenia całą duszą ojczyźnie. Nikt już nie mógł ani śmiać pomawiać tego obywatela, czystego jak kryształ, o zdradę, o zaprzecanie się Austryakom. Z kam-

panii tej wychodził księżę podwójnym zwycięzą: pobił bowiem nieprzyjaciela w boju, a moralnie podbił sobie serca całego narodu. Wychodził z niej pełen przeświadczenia dobrze spełnionego tak trudnego obowiązku: kierownika narodu. Stał się też odtąd ulubieńcem tego narodu, który z ufnością już patrzył na swego szlachetnego i bohaterskiego wodza.

VI.

Książę jeszcze dwa miesiące, to jest niemal do końca grudnia zabawił w Krakowie. Przez cały ten czas, tak jak i poprzednio, zajęty był formowaniem nowych pułków. Miał bardzo wiele do czynienia, jeśli się zważy, że armia polska w ciągu tej wojny mimo nieodzownego ubytku w ludziach przecież bardzo znacznie się powiększyła. Na początku bowiem tej kampanii Księstwo Warszawskie liczyło ledwie 22.000 żołnierzy, a pod koniec października 1809 r. miało ono w swych szeregach przeszło o 30.000 więcej. Wojsko to dzieliło się na dwie części, właściwą armię Księstwa, wynoszącą prawie 37.000 ludzi i armię świeżo utworzoną galicyjsko-francuską, będącą na żołdzie francuskim, a liczącą przeszło 25.000 głów. Obie one więc prznosiły liczbę 62.000, ale ponieważ część tych sił (około 10.000) służyła już od dawna poza granicami kraju, więc pozostawało w nowych granicach Księstwa 52.000 ludzi. Rzecz to była nielada dla tylu tysięcy znaleźć i ubranie i uzbrojenie, gdy zwłaszcza brakowało w kasach Księstwa odpowiednich funduszków. Książę

był z tego powodu niejednokrotnie w bardzo poważnych kłopotach. Ciekawe, a dla charakteru księcia znamienne zdarzenie opowiada jeden ze współczesnych świadków, który przybył do Krakowa, by złożyć księciu uszanowanie i powinszować mu odniesionych zwycięstw. »Zastałem go — są jego słowa — zasmuconego. Panie Marcinie — rzekł ksiązę do mnie — w wielkim jestem kłopotcie. Stoję tu na czele trzydziestu kilku tysięcy wojska, nie mam grosza w kasie. Tutejsze kasy puste, Księstwo Warszawskie nic mi nie nadsyła, wojsko zaczyna być nieukontentowane, może się w nim rozprządz karność i rozprzężona uczynić je uciążliwym krajowi; zlituj się i zaradz temu«. Zastanowiwszy się, rzekłem: »Niema innego sposobu w tej nagłości, jak użyć znacznych depozytów sądowych, które do dwóch milionów po kasach sądowych wynoszą; ksiązę możesz ten rozkaz wydać, a potem wezwać skarb Księstwa Warszawskiego, aby je zwrócił«. »Jakiegoż to są rodzaju sumy?« — zapytał ksiązę. »Są to po większej części sumy wdów i sierot«. Na to moje wyjawienie rumieniec dziewiczego wstydu wystąpił na całą twarz księcia, zapłonął się, jak panna, załamał ręce i rzekł do mnie: »Panie Marcinie, przebóg, przyjaciel mój jesteś, a na co mnie namawiasz? Ja, człowiek honoru, miałbym się tykać grosza wdów i sierot? choćby z głodu umrzeć, ja tego nie uczynię«. Na te słowa jego, z żywością wyrzeczone, taki mnie razem wstyd samego siebie i ku niemu cześć i uwielbienie ogarnęły, że gotów byłem do nóg mu upaść. Uchwyciłem go za rękę, chciałem

ucałować, wyrwał ją. »Otóż — rzekłem — będą i pieniądze i księżę nie tkniesz się funduszów wdów i sierot«. »A to jakim sposobem?« — zapytał. Od-rzekłem: »Ja, ks. Henryk Lubomirski, panowie Wo-dziczcy i jeszcze znajdują się tacy, co na swoje dobra weźmiemy te depozytowe sumy, przecież będą miały bezpieczeństwo. Pożyczymy Księstwu i w jednym roku oddamy kasom«. Uściskał mnie księżę i rzekł: »Kiedy tak, to się nie gniewam i przyjmę, ale z rąk waszych«.

Niezawsze jednak znajdował się taki rychły ratunek i księżę, który z taką szlachetnością baczył na pochodzenie pieniędzy, nieraz jeszcze miał wiele trosk, skąd je wziąć.

Wszystkie starania i trudy, jakie poniósł Ponia-towski w czasie tej wojny, nie zostały jednak bez nagrody. Napoleon, który już niejednokrotnie w swych rozkazach podnosił zasługi księcia, po skończonej wojnie wręczył mu w dowód swojego zadowolenia złotą szablę, tudzież nadał mu jedno z najwyższych odznaczeń: wielkiego orła Legii honorowej. Przyja-ciel jego, ks. Murat, przysłał mu oznaki wielkiego krzyża Obojga Sycylii i czapkę ułańską, haftowaną przez neapolitańską królowę, król saski, z wdzięcz-ności za znamienite usługi oddane ojczyźnie, daro-wał mu dobra wartości półtora miliona złotych pol-skich. Miasto Kraków zaś ofiarowało mu staroda-wną chorągiew miejską, pochodzącą z roku 1657.

Wszystkie te jednakże dary i odznaczenia mniejszą miały w oczach księcia wartość, wobec uznania swojej pracy, jakie otrzymał obecnie od

swoich ziomków. Znikło już wtedy dawne uprzedzenie do nazwiska Poniatowskiego. Książę otrzymał właściwe miejsce wśród ludzi zasłużonych dla narodu. Galicya, a zwłaszcza Kraków oswobodzony, niemal po królewsku witały swego zbawcę. Przychodziła teraz kolej na Warszawę. I ona też od czuła niesprawiedliwość i krzywdę, jaką wyrządziła dawniej podejrzanemu wciąż księciu. Zapragnęła teraz to odwetować. Przygotowała wspaniałą bramę tryumfalną dla powracającego do stolicy z wojskiem księcia. Ale wódz, któremu wciąż jeszcze brzmiały okrzyki miotane za nim na odchodnym z tej samej Warszawy, usunął się od tych owacy. Wojsko wysłał przodem, a sam dopiero w dwa tygodnie później niepostrzeżenie wrócił do stolicy. Nic sympatyj między jej mieszkańcami i narodem całym a księciem poczęła się szybko nawiązywać. I nie dziw, bo oprócz zasług miał tyle zalet osobistych, że trudno było się oprzeć jego urokowi. »Książę Poniatowski — pisze jeden z jego oficerów — liczył wtedy dopiero lat 46, należał do najpiękniejszych ludzi swego czasu. Piękność rysów twarzy, wzrost średni, powaga w poruszeniach, uprzejmość w mowie, jednały mu serca odrazu. Nic nie wyrównało wspaniałości jego postawy na koniu«. Dbał on wielce o podniesienie dobrobytu całego Księstwa, lecz jako minister wojny i naczelny wódz główną troską otaczał wojsko. Na jego to rzecz rzekł się wszelkich pobieranych przez siebie pensyi, mimo, że sam znajdował się w trudnych warunkach pieniężnych. O jego wykształcenie starał się, zakła-

dając stosowne szkoły. W jego potrzeby z całą troskliwością wnikał. Był też za to wprost uwielbiany przez żołnierzy, z którymi obchodził się prawdziwie po ojcowsku.

Postępowanie jego z żołnierzami malują dosadnie dwa obrazki, pozostawione nam przez jednego ze współczesnych świadków. Na cześć księcia po powrocie jego z Krakowa do Warszawy urządziło wojsko bal, na który przybyło także po dwóch żołnierzy najzasłużeńszych z każdej kompanii. »Nadszedł wieczór — są słowa pamiętnikarza. — O godzinie ósmej pospieszyliśmy na oznaczone miejsce. Sala balowa wspaniale była przybrana... Kapela zagrała poloneza. Księżę z Czartoryską, czy z Tyszkiewiczową sunęli poważnego tańca, a za nimi ciągnęło sto, ba i więcej par nawet; dygnitarze, oficerowie, młodź szlachecka, mknęli ze swojemi damami dookoła salonu; kilkaset zaś obecnych żołnierzy skupiło się na uboczach i poglądało na tańczących. Spostrzegł to księżę, skończył niezdługo poloneza i stanąwszy wśród grona arystokratek, rzecze: »Cóż to, czy bal ten ma stanowić dla nas jedynie zabawę, czyż na to dali go moi współtowarzysze broni, ażeby stali po kątach, nudzili się i na nas tylko patrzyli; nie, nie pozwolę, aby ci, których dzielnemu ramieniu winniśmy spokój i pomyślność, byli nieczynnymi świadkami dzisiejszej uroczystości. Tam, gdzie huk dział muzyką, a błysk prochu oświetleniem, nie potrzeba im otuchy, wiedzą oni tam, jak i kiedy potańcować, ale tu rzecz inna, bo to nie światowi bywalcy, trzeba ich zachę-

cać, zabawić i na was właśnie moje panie wkładam ten obowiązek, tuszając, że dzień dzisiejszy zjednoczy wszystkich tu w jedno grono». Słowa te skutkowały, bo w okamgnieniu piękne arystokratki pospieszły ku wiarusom i podając im ręce, rozpoczęły na nowo poloneza. Inaczej też wyglądał ten polonez, bo w pierwszą parę postępowwała Zamoyska, oparta na ramieniu jakiegoś wąsatego legionisty, za nimi księżne, hrabiny z wiarusami, a na szarym końcu księżę Józef i cała dworska czereda. Po polonezie nastąpił mazur, krakowiak, obertas i szewronowani tancerze ciągle się uwijali, bo się o nich same damy ubiegały. O północy nastąpiła wieczerza. Przy końcu wieczerzy powstał księżę i wznosił toast: Za zdrowie braci żołnierzy! Zaledwie wychylił kielich, aliści żołnierze porwali go na ręce i nieobeznani ze światowymi obyczajami, wnieśli do balowego salonu wśród okrzyków: »Niech żyje nasz księżę, nasz ojciec, nasz wódz!« Był to prawdziwy tryumf, bo wywołany uczuciem uwielbienia i miłości. A za powrotem do pułku co o tem rozpowiadali Walczak i Kaczor innym wiarusom, jakie o tem krążyły gawędy, jaka była stąd wdzięczność i zapal, to aż serce rosnęło.

Nie był to jednakowoż jakiś fakt odosobniony. Księżę zawsze przy każdej sposobności wglądał troskliwie we wszelkie potrzeby żołnierskie. Najwięcej do tego sposobności nastęrczały częste przeglądy wojska na placu Saskim w Warszawie. Jedną taką scenę opisuje tak naoczny jej świadek: »Nigdyśmy długo nie oczekiwali na wodza; a gdy się ukazał

na karym rumaku, otoczony nielicznym sztabem, oczy wszystkich zwracały się na niego i czytałeś wszędzie wyraz szczerego przywiązania. Bywało, po krótkiej mustrze, ksiązę kazał piechocie postawić broń w kozły, jeździe zaś zsiąść z koni, wchodził pomiędzy żołnierzy, wypytywał ich o rozmaite szczegóły: czy są dobrze żywieni, czy dostają regularnie żołd, czy im czego nie brakuje, i był jak ojciec między dźwiatwą, a niejeden legionista, otrąskany z mordem i pożogą, ocierał teraz łzy rozczulenia. Po półgodzinnej, czasami i dłuższej rozmowie, brał ksiązę pod rękę dwóch żołnierzy i wiódł ich do siebie na obiad. Trzeba było widzieć, z jaką nieśmiałością szli wiarusy, prowadząc się z ukochanym księciem za pan brat. Oni, co nie drżeli, idąc z bagnetem na zięjące ogniem paszcze nieprzyjacielskich baterji, postępowali teraz krokiem niepewnym, z sercem przepelnionem radością. Ksiązę suto częstował swoich gości - żołnierzy, wiele z nimi rozmawiał, ośmielał ich otwartem obejściem, grzecznością i po skończonym obiedzie obracał się zwykle do którego z adjutantów, mówiąc: »Powierzam ci moich kolegów, staraj ich się zabawić i uprzyjemnić im resztę dnia, ażeby nie żałowali tych kilku godzin, które gościna u swego wodza bawili«. I niebawem adjutant księcia brał z sobą wiarusów, prowadził ich w jakie zgromadzenie, do cukierni, ogrodu, a wieczorem do teatru. I dzień ten stawał się dla nich na zawsze pamiętnym, a ksiązę w dniu tym zyskiwał dwa serca poczciwe, szczerę, wdzięczne, zdolne do największych poświęceń«.

A tych poświęceń ze swej krwi i życia miał już wkrótce od nich zażądać ich bohaterski wódz. Oto bowiem znowu zbliżała się do granic Księstwa Warszawskiego nowa groźna burza wojenna, tym razem od wschodu. Cesarz rosyjski Aleksander, którego wojska w czasie wojny 1809 r. tak dwuznaczną odegrały rolę, pozornie wspomagając Napoleona, a faktycznie popierając ruchy Austryaków, zaraz po zawarciu pokoju rozpoczął nowe zbrojenia i przygotowania na wielką skalę do przyszłej wojny z Napoleonem. Powodem tego, obok innych, była głównie obawa, by Księstwo Warszawskie, które powstało z zaboru pruskiego, awzrosło ostatnio kosztem zaboru austriackiego, nie pokusiło się w niedalekiej już chociażby przyszłości o odbój i zaboru rosyjskiego.

Aleksander więc chciał w tym względzie Księstwo uprzedzić i zanimby ono na niego napadło, udałym i niespodziewanym atakiem miał zamiar najechać i podbić to małe państewko. Do napadu na nie szykował się przez cały rok 1810, na wiosnę następnego roku przygotowując stanowczy cios, ponieważ zaś wiedział, że za Księstwem ujmie się w takim razie możny jego opiekun Napoleon, więc też gotował się i do wojny z nim samym. Wszystko to było robione w wielkiej tajemnicy, tak, by się w Księstwie o tem nie dowiedziano.

Przed podjęciem jednakże ostatecznych kroków wojennych postanowił Aleksander zjednać dla swoich planów najwybitniejszych mężów Księstwa. Głównie chodziło mu o ks. Józefa, jako o dowódcę

siły zbrojnej polskiej. Do niego to wysłał ks. Adama Czartoryskiego, który mu miał przedstawić trudność odnowienia całej Polski przez Francję, natomiast miał mu okazać obietnicę cesarską utworzenia całego państwa polskiego pod berłem rosyjskiem. Na tej też podstawie miał z księciem rozpocząć układy co do dalszego wspólnego działania rosyjskiej armii i polskiej pod wodzą księcia. Z początkiem lutego 1811 r. widział się ks. Adam Czartoryski z Poniatowskim i przedłożył mu propozycje cesarskie. Otrzymał jednakże na nie odpowiedź odmowną. Nie chciał i nie mógł łamać wódz polski raz danego słowa, że przyszłość narodu widzi pod sztandarami wielkiego Napoleona, w tajemne frymarki nie chciał wchodzić, w gołosłowne obietnice nie wierzył.

W ten sposób jednak dowiedział się o rzeczy pierwszorzędnej wagi, o grożącym Księstwu niebezpieczeństwie, o zamierzonym już wkrótce napadzie rosyjskim. Krępowała księcia do pewnego stopnia poufność wysłannika rosyjskiego i jego z nim rozmowa, lecz książe, nie podając źródła, w te pędy pchnął wiadomość o zamiarach rosyjskich do Paryża. Napoleon nie chciał temu wierzyć. Pragnął on wtedy właśnie pokoju, ponieważ przygotowywał się do ostatecznej rozprawy ze swym najzacieźszym wrogiem, Anglią. Rok 1812 przeznaczał on właśnie na to starcie. Wieści o zbrojeniach rosyjskich były więc cesarzowi nie na rękę, nie dawał im też z razu wiary. Ks. Józef jednakże, widząc, co się święci, alarmował wciąż nie tylko samego cesarza, ale i swego bezpośredniego przełożonego, marszałka Davouta

i króla saskiego. Gdy i to nie na wiele się zdało, wyjawił swoje obawy przed pełnomocnym ministrem francuskim Bignonem, przybyłym właśnie do Warszawy, a wkrótce dla usunięcia wszelkich możliwych wątpliwości i dla tem pewniejszego przekonania Napoleona o planach rosyjskich, udał się w kwietniu 1811 osobiście wraz ze znacznem otoczeniem oficerów do Paryża, osłaniając ten właściwy cel swej podróży pozorem uczestniczenia w uroczystym akcie chrztu króla rzymskiego, syna Napoleona. Cesarz przyjął go ze szczególnem wyróżnieniem; zaraz na drugi dzień po przybyciu księcia do Paryża miał z nim długą rozmowę, potem zapraszał go często do siebie na przyjęcia, brał ze sobą na polowanie, wogóle otaczał go wpadającymi w oko względami. Lecz nie dla przyjemności księżę tu przyjeżdżał. Cel jego podróży był inny, stokroć ważniejszy, ale i ten w zupełności się udał. Ks. Józef całym szeregiem przedstawionych dowodów zdołał w zupełności przekonać cesarza o zamierzonych przez Rosyę krokach wojennych. Ponieważ każda zwłoka groziła przedewszystkiem Księstwu Warszawskiemu wielkiem niebezpieczeństwem, Napoleon więc postanowił w tej pierwszej chwili na wypadek wkroczenia tam Rosyan, by armia polska Księstwo opuściła i cofała się nad rzekę Odrę, gdzie jej miał przyjść z pomocą korpus francuski marszałka Davouta. Równocześnie zaś nakazał cesarz wszędzie olbrzymie zbrojenia.

Wśród tego atak rosyjski na Księstwo został

odłożony na później. Stało się to właśnie na skutek odmownej odpowiedzi ks. Józefa na propozycyę cesarza Aleksandra co do wspólnego działania armii polskiej z wojskami rosyjskimi. Z tą zmianą zamiarów rosyjskich i plan pierwotny ułożony przez cesarza Napoleona gruntownie uległ przeróbce. Napoleon postanowił wtedy już nie wyczekiwać kroków zaczepnych ze strony Rosyi, lecz ubiedz w tem nieprzyjaciela i wpierw na niego uderzyć. Na tę rozprawę przeznaczał on rok przyszły t. j. 1812.

W naradach nad przeprowadzeniem przygotowań do tej wojny do skutku brał szczególniejszy udział ks. Józef, do którego ustawicznie zwracał się tak sam Napoleon, jak i jego najbliżsi pomocnicy po rozmaitego rodzaju wskazówki. I nic dziwnego, bo ksiązę najlepiej znał przyszłego przeciwnika, mógł więc z tego powodu udzielić najwięcej wyjaśnień. Zresztą wojnę tę podejmował Napoleon niejako w obronie sprawy polskiej, któż więc był najbardziej odpowiedni do udzielenia wszelkich wskazań i wyjaśnień, jeżeli nie jej przedstawiciel, nie wódz polski.

Na tych pracach zeszedł księciu w Paryżu czas aż do połowy sierpnia. Wrócił do Warszawy we wrześniu, odbywszy wprzód przegląd prac około twierdzy Torunia i Modlina. Z jego przybyciem do kraju nastął okres gorączkowych wprost przygotowań do przyszłej wojny. Trzeba było powiększyć ilość żołnierzy w pułkach, pomnożyć artyleryę, poczynić rozmaite zapasy wojenne, wzmocnić obwarowania twierdz i t. p. Wszystko to wymagało wiele

czasu i wiele pieniędzy. Tymczasem nie było ani jednego, ani drugiego. Stąd powstawał cały szereg starć i nieporozumień. Odbijały się one głównie na osobie naczelnego wodza. Z Paryża odbierał on ustawicznie rozkazy, by zbrojenia przyspieszał, od rodaków zaś i od własnego rządu Księstwa musiał często słuchać gorzkich wyrzutów z powodu nadmiernych ciężarów, nakładanych na wycieńczony kraj.

Książę, jak mógł, tak godził te ścierające się ustawicznie przeciwieństwa, niejednokrotnie z zaparciem się siebie, z własną krzywdą moralną. Przejścia te też odbiły się i na całym usposobieniu jego. Z dawniej wesołego, płochego nawet, stał się teraz dziwnie poważny, bo już nie zabawy miał na myśli, ale interes ogółu, interes ojczyzny. Ustawicznie dla dobra sprawy pracował, nie przerywał nawet swych zajęć w czasie ciężkiej choroby, jaka go powaliła na łożo boleści z początkiem wiosny.

VII.

Dzięki usilnej pracy Poniatowski doprowadził stan liczebny swego wojska do liczby 74.722 głów, nie biorąc tu w rachubę legii Nadwiślańskiej i gwardyi. Lecz przed wojną z tej znacznej siły utworzono jeden korpus polski, oznaczony numerem piątym, składający się tylko z 36.000 ludzi. Resztę, tak znaczną, rozsypano prawie bez znaku pomiędzy oddziały wielkiej armii. Z tym małym korpusem wyruszył ks. Józef w pole w miesiącu czerwcu. Lecz nie miał on działać samoistnie. Był zdany pod niezdarną komendę brata cesarskiego, króla Hieronima, co już wkrótce fatalnie odbiło się na losach tego korpusu. Hieronim bowiem nie miał pojęcia o dowodzeniu wojskiem. Wydawał rozkazy, które tylko przyczyniały się do powiększenia zamieszania. Wygodny i leniwy, maszerował z wojskiem jego dowództwu powierzonym, a stanowiącym prawie skrzydło wielkiej armii, bardzo wolno, wtedy właśnie, gdy trzeba było rozwinąć jak najwięcej pośpiechu. Nieprzyjaciel bowiem nigdzie nie stawiał oporu, lecz szybko, wbrew oczekiwaniom Napoleona, cofał się w głąb kraju.

Zadaniem prawego skrzydła wojsk napoleońskich było dognać nieprzyjaciela i zmusić go do przyjęcia bitwy. Niestety, wskutek niedołęstwa Hieronima, nie sposób było go doścignąć. Oburzał się z tego powodu Napoleon, lecz gniew jego, zamiast na brata, całkiem niesłusznie spadał na ks. Józefa, chociaż on kilkakrotnie niedwuznacznie wskazywał, że to właśnie król Hieronim jest główną tego opóźnienia przyczyną. Wkońcu uznał cesarz słuszność wywodów Poniatowskiego, odebrał zatem Hieronimowi dowództwo, a powierzył je zrazu Davoutowi, a następnie na jakiś czas ks. Józefowi.

Lecz z tem udręka się nie kończyła. Przeciwnie, w znacznym stopniu wzrastała. Bo oto na księcia z dowództwem całego prawego skrzydła spadała tem większa odpowiedzialność, zwłaszcza, że i trudności z dniem każdym wzrastały. Nieprzyjaciel ustawicznie posuwał się w głąb kraju, pościg za nim nie dawał dotychczas żadnych dodatnich wyników, przeciwnie, szybki marsz przynosił tylko szkody korpusowi ks. Józefa; żołnierze bowiem nie byli w stanie znieść wszelkich trudów takiego uciążliwego pochodu. Z tego powodu nader szybko topniały szeregi polskie. To też w przeciągu krótkiego czasu, bo w niespełna dwa miesiące, stan liczebny korpusu polskiego bez żadnej bitwy spadł do 23.000 ludzi.

Te dotkliwie szczyrby w swoim korpusie widział doskonale wódz polski, niejednokrotnie też użalał się z tego powodu Napoleonowi. W jednym liście tak o tem pisał: »Jestem przerażony tak znacznem

osłabieniem pułków, gdy ich stan czynny w chwili wyruszenia w pole porównywan z obecnym. Jednakowoż niepodobna się dziwić takiej stracie, jeżeli się uwzględni spustoszenia wyrządzone przez szkorbut skutkiem ciężkich robót ziemnych, około twierdz, do których używana była armia Księstwa aż do późnej jesieni roku przeszłego. Na domiar jedna trzecia szeregów zapełniona została przez świeżego rekruta, który, będąc ledwo od kilku tygodni w czynnej służbie, niewzwyczajony jest do trudów wojennych. Łatwo więc zrozumieć, że armia polska od blisko dwóch miesięcy w ustawicznym ruchu, często pośród okolic zupełnie wycieńczonych, musiała stopniowo przeredzać się bardzo raptownie.

Mimo tak dowodnego wyłuszczenia i złego stanu korpusu i jego powodów Napoleon nie chciał tego tłumaczenia zrozumieć i uznać. Ustawicznie nakazywał ks. Józefowi przyspieszenie pochodu korpusu. Na jego zażalenia odpowiadał odmownie, stawiając na wzór świetny stan swej gwardyi, mimo, że pieszo odbyła całą drogę z Paryża; a gdy pod Smoleńskiem połączył się korpus polski z główną armią, Napoleon za pierwszym widzeniem się z księciem obsypał go całym szeregiem niezasłużonych wyrzutów. Po takim przykrem powitaniu cesarz jednak gniew swój pomiarkował, gdy mu Poniatowski ustnie wszystkie powody zwłoki i złego stanu korpusu wyłożył, udobruchał się po odbyciu zaraz przeglądu wojsk polskich, a już zupełnie przekonał się i to na stałe do ks. Józefa i jego podkome-

dnych nazajutrz, w czasie pierwszej z wojskami rosyjskimi stoczonej bitwy.

Stało się to właśnie pod Smoleńskiem. Nieprzyjaciel, korzystając z grubych murów tej starej twierdzy, postanowił tu po raz pierwszy stawić opór wojskom napoleońskim. Wtedy to pułki polskie raz po raz przypuszczały w oczach Napoleona i jego całej armii szturm do tego miasta. Dzięki nieustraszonej odwadze zajęły przedmieścia, a nawet poczęły wdzierać się w niektórych miejscach i do miasta samego. Noc te usiłowania przerwała. Nazajutrz wczesnym rankiem pierwsze wdarły się poza mury twierdzy; lecz wojsk rosyjskich już tam nie zastały. Nieprzyjaciel uciekł w nocy, pozostawiając twierdzę na łup zwycięzców. Bój ten, który nową sławą okrył szeregi polskie, przepłacił korpus piąty poważną stratą, blisko półtora tysiąca ludzi. Za to zyskał znaki zaszczytne i pochwały Napoleona, ks. Józef zaś, który według swego zwyczaju wiódł osobiście pułki w ogień, był przez cesarza publicznie wyróżniany.

Od tej bitwy korpus polski podzielał wspólnie dolę i niedolę wielkiej armii. Najwięcej jednak był wystawiony na niebezpieczeństwo, ponieważ szedł zawsze odtąd na jej czele, jako straż przednia i ustawicznie musiał się po drodze ucierać z napadającą na niego z rozmaitych stron jazdą nieprzyjacielską. W czasie jednego z takich licznych starć, które nie wywarły wprawdzie żadnego wpływu na bieg działań wojennych, były jednak dla Polaków bardzo nużące, znalazł się ks. Józef w poważnem

niebezpieczeństwie, ponieważ został otoczony pierścieniem jazdy rosyjskiej, z którego musiał wraz ze swoim sztabem dopiero pałaszem wyrąbywać drogę. W krwawej bitwie pod Możajskiem wziął i korpus polski chlubny udział, tworząc prawe skrzydło wielkiej armii. Miał on za zadanie obejść lewą stronę nieprzyjaciela. Ruch ten wprawdzie nie udał się tak, jak to było w planie, nie zaszachowano z tej strony nieprzyjaciela, ponieważ siły polskie były do takiego wielkiego działania za słabe, lecz w każdym razie zdobyto po długiej i uporczywej walce pozycję bardzo silnie bronioną i zmuszono nieprzyjaciela do odwrotu, mimo że ten kilkakrotnie ponawiał swe ataki celem odzyskania straconych obwarowań. Główną zasługę w tym wypadku przypisać należy ks. Józefowi. On to bowiem, gdy widział, że początkowo kilkakrotnie wysiłki polskie zostały przez wojska rosyjskie odparte, sam stanął na czele szturmującej kolumny, wśród gradu kul poprowadził ją na nieprzyjacielski szaniec i silnem natarciem go zdobył.

Po tej bitwie dalsza droga do Moskwy stała dla wojsk napoleońskich otworem. Bez przeszkody też posuwały się one do tego miasta. Ks. Józef, jak zwykle ze swym korpusem na przodzie, jeden z pierwszych wkroczył do stolicy rosyjskiej. Zabawił tam krótko, ledwo dwa dni, aby dać bodaj skąpy spoczynek utrudzonemu marszami i zdzięsiątkowanemu w boju swemu korpusowi. Stąd udał się dalej w tropy za nieprzyjacielem. W pościgu też za nim znowu pierwszy natknął się pod Cze-



Zdobyćcie Smoleńską.

rykowem na znaczne siły rosyjskie. Choć liczebnie słabszy, rzucił się śmiało ks. Józef na wojska rosyjskie, samą wieś zdobył i w niej się mimo kilkakrotnych ataków utrzymał. W bitwie tej w całości ukazał Poniatowski swe talenty wodza, przez cały czas bardzo umiejętnie kierując ruchami swych pułków, okazał też zwykłą sobie nieustraszoną odwagę, pod wieczór przechylając śmiałym, osobiście prowadzonym atakiem, zwycięstwo na stronę polską. Wogóle trzeba tu podnieść wielkie w tym czasie wyrobienie księcia w rzeczach wojskowych. Tylokrotnie, tak przedtem, jak i w tej wojnie, stając na czele samoistnie działających korpusów, był w ich kierowaniu wprawy i doświadczenia. W ciągu tych bojów nabrał on tej bystrości wzroku i szybkiej decyzji, przymiotów, na których mu jeszcze pod Zieleńcami zbywało. Wtedy już był wodzem nie tylko z samego tytułu, ale i z faktycznego stanu rzeczy. Był nim nie tylko na samem polu bitwy ale i w codziennych marszach i trudach obozowych. Ten niegdyś wesoło zabawiający się i wygodne życie pędzący synowiec królewski, obecnie zmienił się do niepoznania. Na równi ze wszystkimi znosi ciężkie mordegi życia obozowego, nie dojadł, nie dospał. Zapasy żywności jego były tak szczupłe, że oficerowie jego sztabu szukali, gdzie mogli, lepszego pożywienia. Sam wszystkim przykładem świecą utrzymywał w korpusie swoim żelazną karność zabraniając wszelkich rabunków i utrzymując swoje pułki w ciągłej gotowości bojowej. Wyniki takiego postępowania były nadzwyczajne. Podczas, gdy cała

armia napoleońska tworzyła już coraz większe bandy maruderów i oderwańców, żyjących rozbojem i łupem, podczas gdy nawet w samej gwardyi cesarskiej, tem wyborowem wojsku, poczęły okazywać się oznaki niezadowolenia, jeden korpus polski, choć znacznie już przerzedzony, przecież dzięki swemu wodzowi utrzymywał wciąż jeszcze i należytą karność i dzielną postawę.

Jeden z podkomendnych księcia tak opisuje życie obozowe w czasie tej wojny: »Doskonały ten wódz (Poniatowski) wiedział, iż ostrożność jest pierwszym obowiązkiem wodza i żołnierza. Codzień o czwartej w nocy siadaliśmy na konie i zakaz palenia fajek lub głośnego gadania był surowo strzeżony. Z dobytymi pałaszami staliśmy zawsze frontem do godziny szóstej rano, o której nieco świtać poczynało; ksiązę Poniatowski, dając przykład wojsku, sam na koniu ze sztabem zwykle stawał przed frontem«.

Ta nadzwyczajna ostrożność, zaprowadzona i ściśle przestrzegana przez księcia, miała już w czasie najbliższym wydać najlepsze owoce. W drugiej połowie października wojska rosyjskie rozpoczęły wreszcie kroki zaczepne. Mimo umówionego zawieszenia broni niespodziewanie natarły 18 października na straż przednią wojsk napoleońskich, którą dowodził Murat. Napad był wykonany tak nagle, że żołnierze francuscy, którzy poprzedniego dnia właśnie otrzymali świeży dowóz żywności i wódki i nim się uraczyli, nie byli w stanie poważniejszego stawić oporu. Kozacy byliby zgnetli łatwo całą tę

masę wraz z bagażami i działami, gdyby nie opór stawiony przez korpus polski, tworzący środek tej straży przedniej. On to i odbił większość postradanych armat i uratował od zagłady niemal całą jazdę wielkiego wojska, a wszystko to dzięki rygorowi i sprawności bojowej zaprowadzonych przez ks. Józefa. Wszyscy też z uznaniem wyrażali się z powodu tego boju o korpusie polskim i jego dowódcy. Jeden z generałów francuskich, a więc świadek bezstronny, tak o tem pisał: »Dzień 18 października 1812 r. jest pamiętnym dla chwały oręża polskiego; waleczność i karność tych wzorowych wojsk równie jak przezorność ich dostojnego i walecznego wodza, ukochanego księcia Józefa Poniatowskiego, zapobiegły haniebnemu rozprószeniu, któremu uległ korpus jazdy dowodzony przez Murata. Polacy ocalili wszystkie bagaże i artylerję, które korpus Murata pod ich zasłoną prowadził, a któreby nieochybnie wpadły w ręce Rosyan, dowodzonych przez Bagracyona«.

Tymczasem cała potęga Napoleona i olbrzymie jego wysiłki na nic się nie zdały w tej wojnie. Choć Francuzi zajęli stolicę rosyjską, choć posunęli się bardzo daleko w głąb nieprzyjacielskiego kraju, choć więc byli zwycięzcami, to jednak faktycznie nie zdołali pokonać przeciwnika i zmusić go do zawarcia pokoju. Co gorsza, ich własne szeregi gwałtownie topniały, gdy tymczasem nieprzyjaciel z dniem każdym wzmacniał swe szyki wciąż napływającymi posiłkami i stawał się z powodu swej napastliwości coraz groźniejszym dla swych niedawnych zwycięzców.

Wobec takiego położenia, gdy w dodatku jeszcze i zimno poczęło coraz więcej dokuczać, Napoleon nakazał swym wojskom odwrót. Wtedy Polakom przypadła znowu najniebezpieczniejsza rola. Pułki polskie, jak przedtem szły wciąż w przedniej straży, tak znowu w tym odwrocie miały zasłaniać tyły wielkiej armii, czyli ustawicznie, tak pierwiej jak i obecnie były narażone na ciągłe ataki rosyjskie.

Wśród bezustannych walk ucierpiały one bardzo. Szeregi ich przerzedziły się znacznie, bo liczba V korpusu spadła wtedy do 4.600 ludzi. Mimo tylu przeciwności duch świetny ożywiał te resztki tylko wielkiej niedawno armii Księstwa Warszawskiego. Lecz niestety już wkrótce zabrakło tego, który najwięcej ducha tego żywiał, świecąc wszędzie i zagzewając własnym przykładem. W niedługim czasie poniósł korpus polski jedną z najboleśniejszych strat, musiał pożegnać swego ukochanego wodza, który padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

Oto bowiem ks. Józef, który zawsze jechał na czele szczupłego już tylko korpusu, między Możajskiem a Wiazmą, chcąc lepiej rozpoznać położenie nadciągającej jazdy rosyjskiej, spiał ostrogami swego dużego kasztanowatego konia tak nieszczęśliwie, że ten w fałszywym skoku na przeciwległy pagórek zwałił się wraz z księciem na ziemię. Upadek był tak fatalny, że wszyscy myśleli, iż księżę został zabity. Adjutantci go podnieśli, lecz on nie mógł stać, wyrzucając długi czas krew ustami i nosem. Wtedy też potłukł się tak bardzo, że na koniu usie-

dzieć nie mógł. Z tego powodu dowództwo nad wojskiem musiał oddać generałowi Zajączkowi, a sam w karecie odbywał w dalszym ciągu podróż wraz z wielką armią.

Zabrakło księcia właśnie w chwilach dla korpusu polskiego najprzykrzejszych, głód i mróz dziesiątkowały wprost szeregi. Ale on, mimo, że był zdala od swojego wojska, mimo, że sam cierpiał i z powodu niedawnego potłuczenia i z powodu wielkich niewygód w tej podróży, ponieważ utracił po drodze niemal wszystkie swoje rzeczy, przecież o swoim korpusie nie zapomniał. Ledwo też przybył do Smoleńska, zaraz usilnie prosił sztab cesarski, by pułki polskie zastąpić innymi, ponieważ nie są już w stanie, z powodu swej małej liczby i wycieńczenia, stawić należytego oporu wciąż napadającemu nieprzyjacielowi.

Pod Krasnem dłuższy czas rozmawiał Poniatowski z Napoleonem, który sam przyszedł do niego i prowadził tę poufną rozmowę, stojąc na progu jego karety. Wśród ciężkiej udręki i moralnej i fizycznej przybył ksiązę do przeprawy przez Berezynę na jeden dzień przed wielką armią. Cała droga do mostu zajęta była przez uciekające wozy i była nimi tak zabita, że wprost niepodobna było przez nią się przedostać. Dopiero o trzeciej w nocy wśród wielu przeszkód udało się otoczeniu jego drogę utworować, lecz w tym czasie musiano spalić część sztabowych papierów i na zniszczenie oddać resztki bagażów księcia.

Poniatowski jeden z pierwszych przejechał

przez Wilno, a w Warszawie stanął 13 grudnia, to jest w trzy dni po przejeździe tędy Napoleona. W ślad za nim poczęły powoli ściągać i niedobitki piątego korpusu. I wtedy właśnie ukazał się dowodnie ten dodatni wpływ księcia, który, sam niezłomny rycerz honoru, potrafił takim samym uczuciem natchnąć i swych podkomendnych. Dla żołnierza najbardziej wartościowym przedmiotem jest znak pułkowy, hańbą jest opuścić go. Owóż właśnie żołnierze korpusu piątego, choć tyle przeszli trudów, choć na ich skutek liczba ich zmalała ledwo do paruset, przecież przynieśli swemu wodzowi wszystkie znaki pułkowe, które były zrobione w kształcie orłów na długich drzewcach. Scenę tę powrotu tych niedobitków i wręczenia przez nich orłów pułkowych ukochanemu wodzowi tak opisuje jeden z naocznych tego zdarzenia świadków: »Podczas kiedyśmy z najwyższym zajęciem słuchali opowiadania ks. Poniatowskiego o wojnie, przyszedł jakiś adjutant, ażeby go uprzedzić, iż większa część żołnierzy prosiła o pozwolenie złożenia orłów swojemu dowódcy. Nie mogąc chodzić, książę kazał się zanieść na dziedziniec... Jak tylko Poniatowski zjawił się na tarasie, wszyscy ci dzielni zgromadzili się koło niego, składając swoje orły u stóp jego. Żołnierze ani na chwilę nie stracili z oczu tych sztandarów; w chwili, kiedy inni myśleli o ocaleniu swego życia, oni myśleli o honorze pułku. Brakowało tylko jednego z tych orłów. Książę zwrócił na to uwagę z rzewnym uśmiechem. »Ach — krzyknęli wszyscy naraz — jest tam ta kukułka, ale ponieważ kula

armatnia oberwała jej głowę, nasz towarzysz wstydział się pokazać ją w tym żalnym stanie! Chodź, chodź! zbliż się, to nie twoja wina!« Wszyscy śmiali się do rozpuku i ujrzano zbliżającego się dwudziestoletniego młodzieńca z ręką na temblaku; wyciągnął z kieszeni poszarpanego płaszcza kukułkę, jak ją nazywali, i kładąc ją z zakłopotaną miną obok innych, tłumaczył się, że przyniósł tego orła tak uszkodzonego. »Dlatego, że towarzysz jest jeszcze młody — rzekli najstarsi — i zawsze wysuwał się naprzód!« Nie mogąc dłużej powstrzymać swego wzruszenia, księżę obcierał ukradkiem oczy; żołnierze zapewne wyobrażali sobie, że księżę był zmartwiony i by go pocieszyć, oznajmili, że wkrótce powrócą mu jego armaty. »Niech Wasza Książęca Mość będzie spokojny — mówili — ci, co je prowadzą, nie mogą tak pospieszać jak my, gdyż te daleko cięższe, ale przyjdą za kilka dni. — Kiedy nam konie pozdychały lub kiedyśmy je zjedli sami, zaprzęgaliśmy się do naszych armat... Bądź tylko zdrow, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze! Będziemy się bili — pomścimy się! Pójdziemy za tobą chociażby do piekła!« I znów okrzyki; czapki wylatują w powietrze, a jakie czapki? Wielki Boże! łachmany i gałgany wiązane z sobą! I ludzie ci nie mieli ciepłego ubrania! byli bez butów! najszczęśliwsi mieli nogi poobwiązywane kawałkami sukna. Wszyscy przynajmniej byli weseli i zdrowi, gotowi pójść choćby nazajutrz, a nawet tego samego dnia, gdyby się tego okazała potrzeba«.



Powrót z Moskwy.

VIII.

I w rzeczy samej długo na nową wojnę nie trzeba było czekać. Wojska rosyjskie w pościgu za szczątkami wielkiej armii coraz bliżej podchodziły do granic Księstwa Warszawskiego. Książę Józef doskonale widział całą grozę położenia, to też natychmiast po swem do Warszawy przybyciu, choć ciężką jeszcze złożony niemocą, zajął się reorganizacją swych pułków. Nakazał pobór rekruta, nakazał obwołanie pospolitego ruszenia, nakazał tworzenie gwardyi narodowej.

Kraj był już poprzednim wysiłkiem wycieńczony, echa nieszczęśliwej wyprawy na Moskwę działały bardzo ujemie na ducha mieszkańców. Najwybitniejsi nawet przedstawiciele Księstwa, najwyżsi jego dygnitarze, widząc już upadającą gwiazdę Napoleona, poczęli potajemnie nawiązywać układy z cesarzem Aleksandrem. Tyloma przeciwnościami, które miał do zwalczania, nie zrażał się naczelnik wojska polskiego. Gromadził dawnych rozbitków, wcielał do szeregów nowo zaciężnych i tworzył w ten sposób świeżą armię, z pogardą odrzucając wszelkie

propozycje poddania wojska polskiego i połączenia się z nadchodzącą armią rosyjską.

Lecz niedługo już można się było utrzymać w Warszawie. Wojska rosyjskie coraz więcej zbliżały się, korpus zaś austriacki, którego zadaniem było osłaniać tę stolicę, począł w tajnym z nimi porozumieniu wycofywać się na południe.

Wobec słabości sił polskich ks. Józef nie mógł bronić się w Warszawie, musiał więc to miasto opuścić i udać się w strony najmniej jeszcze wojną zagrożone, t. j. na południe, do Krakowa. Udał się tam naprzód rząd Księstwa, a 5 lutego 1813 opuścił sam książę Warszawę, maszerując wraz z wojskiem do tej drugiej stolicy polskiej.

W drodze i w Krakowie samą pracą nad pomnożeniem szeregów trwała bez przerwy. Bardzo wielką zwłaszcza wagę przykładał książę do nowej formacji lekkiej jazdy Krakusów, dostarczanych przez tamtejsze województwo, których sprawność bojowa wkrótce już miała zabłysnąć. Kraków przyjmował księcia teraz po tej nieszczęśliwej wojnie równie z zapałem, jak niedawno po zwycięskiej kampanii 1809 roku. Znowu więc na jego cześć odbywały się najrozmaitsze zabawy i uroczystości. W najlepsze bawiono się, jakby w najszcześniejszych czasach, mimo, że groza wojny zewsząd wisiała. Już bowiem nie tylko trzeba było być gotowym do walki z rosyjskimi wojskami, ale też szykować się należało do boju z niedawnymi jeszcze sprzymierzeńcami, ponieważ na skutek klęsk Napoleona opuściły go Prusy, przystępując jawnie do związku

z Rosyą; opuszczała go Austria, tajnie na razie wiążąc się z cesarzem Aleksandrem.

Skutkiem tego położenie księcia w Krakowie, otoczonym z jednej strony przez wojska austriackie, z drugiej przez zdaleka widne placówki rosyjskie, było coraz trudniejsze. W dodatku, tak ze strony rosyjskiej, jak i pruskiej, ustawicznie czyniono przez blizkie księciu osoby zabiegi celem nakłonienia go do porzucenia wraz z wojskiem całym sprawy Napoleona. Sumienie księcia w tych przełomowych chwilach musiało ciężkie staczać walki. Niemal wszystko przemawiało za tem, by książę dał posłuch tym namowom, bo Napoleona uważano już powszechnie za ostatecznie pobitego, a Księstwo Warszawskie wraz ze stolicą zajęte już było przez wojska rosyjskie, cesarz zaś Aleksander głosił przytem różne pięknie brzmiące obietnice co do przyszłości Księstwa, które łatwo mogły uwieść niezających sprawy.

Wśród takiej rozterki duchowej i ustawicznej troski o przyszłość organizował książę niezmordowanie swój korpus. Tymczasem okoliczności znagiły księcia do szybkiej decyzji. Austriacy mianowicie, jak przedtem odslonili Warszawę, tak obecnie pozostając w tajnym porozumieniu z dowódcami rosyjskimi, postanowili odslonić i Kraków, zostawiając księcia na pastwę przeważających sił rosyjskich. Nie sposób było myśleć słabemu korpusowi polskiemu o jakiejś walce, czy to pod Krakowem, czy to w mieście samem. Znowu nie pozostało nic innego, jak unikając stanowczego boju,

i te resztki ziemi polskiej niezajęte dotąd przez nieprzyjaciela opuścić i udać się przez Czechy do głównej armii francuskiej. Chwile te ostatecznej decyzji były w życiu księcia bezwarunkowo najtrudniejsze. Ostatnią noc w Krakowie spędził książe bezsennie, rozważając, co mu czynić wypada. Mimo bowiem, że na wszystkie poprzednie propozycje odstąpienia Napoleona odpowiadał odmownie, przecież znając wielką odpowiedzialność przed narodem, wciąż jeszcze był niepewny, czy dobrze dla sprawy robi, trzymając się Francyi. Jednemu ze swych najbliższych znajomych, który go następnego ranka odwiedził, wciąż jeszcze nakłaniając do porzucenia Napoleona, tak miał z otwartością żołnierską odpowiedzieć: »Słuchaj, widzisz te pistolety, które koło mnie leżą, dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem sobie w łeb strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec powziąłem postanowienie: nie odstąpię Napoleona«.

Duch jego wyszedł z tej walki z zastawianych zwodniczych siedeł zwycięsko. Książę poszedł za tem, co mu honor jako naczelnikowi wojsk polskich wskazywał, wybrał tę drogę, na jakiej sądził, że najlepiej usłuży sprawie ojczystej i która też w rzeczy samej niedaleką przyszłość uznała za najużyteczniejszą. Poniatowski został wierny raz obranemu sztandarowi. W umowy z władzami rosyjskimi nie wszedł, choć z bólem serca opuścił Kraków, opuścił wtedy ziemię rodzinną, do której miał już jeno trudem powrócić. To też jakby w przecuciu tego smu-

tnego losu, pożegnanie jego z mieszkańcami Krakowa było nad wyraz bolesne.

Jeden z naocznych świadków, któremu sceny te widziane w latach dziecińczych wraziły się w pamięć na całe życie, tak je opisuje: »Nadszedł dzień wyruszenia dla naszego wojska (8 maja). Padał mocny deszcz. Zdawało się, że natura cała dzieliła smutne uczucia obecnych. Rodziny towarzyszyły odchodzącym, ile mogły. Było to pożegnanie, może ostatnie. Na czele wojska szedł ks. Poniatowski, zamyślony i smutny, jakby przewidywał, że już Krakowa nie zobaczy. Publiczność, milcząc, wzrokiem tylko żegnała braci. Nie pamiętam w życiu dnia smutniejszego; gdzieś żony i krewne odchodzących zalewały się łzami. Wojsko także miało to przeczucie, że idzie nie na zwycięstwo, ale na zgubę, bez pożytku dla ojczyzny, jedynie dla spełnienia obowiązku żołnierza«.

Książę, opuszczając ziemię rodzinną, miał pod swem dowództwem około 14.000 ludzi, przeważnie jednak nowo zaciężnych. Nosił on, stosownie do rozporządzenia cesarskiego z 12 marca 1813 r., nazwę korpusu ósmego wielkiej armii.

Według umowy, zawartej wpieryw przez króla saskiego z cesarzem Franciszkiem, korpus ten miał przejść przez Śląsk, Morawy i Czechy do Saksonii, gdzie stały główne siły Napoleona. Warunki jednakże tego przemarszu dla wojska polskiego były uciążliwe, ponieważ nakładały obowiązek na żołnierzy złożenia broni, którą na osobnych wozach za każdym

oddziałem wieziono. Potem dopiero rozkaz cesarski warunek ten usunął.

W Saksonii rozłożył się korpus polski w okolicy miejscowości Zittau. Tam też ks. Józef w dalszym ciągu swe pułki organizował, korzystając z zawieszenia broni, zawartego między Napoleonem a Prusami i Rosyą. Wśród tych prac, które teraz szły rażniej, ponieważ cesarz wziął od 1 czerwca cały ten korpus na żołąd francuski i ze swego skarbcza opędzał wszystkie jego potrzeby, zerwane zostały rokowania pokojowe. Do przymierza przeciw Napoleonowi, do Prus, Rosyi i Szwecyi przyłączyła się już całkiem otwarcie i Austria. Na skutek tego w połowie sierpnia rozpoczęły się znowu kroki wojenne.

Główną ich widownią teraz była Saksonia. Zaczęło się od drobniejszych starć Napoleona z wojskami sprzymierzonych, w których korpus ósmy ks. Poniatowskiego parukrotnie walczył jako straż przednia całej armii. W obozie polskim z początku wciąż jeszcze łudzono się nadzieją, że Napoleon, zwyciężywszy sprzymierzonych, posunie się do Polski i uwolni ją z pod nawały rosyjskiej. Niestety, szczęście wówczas wielkiemu cesarzowi nie dopisało. Chociaż tam, gdzie sam dowodził, odnosił korzyści, to jednak marszałkowie jego kilkakroć przez przeważające siły nieprzyjacielskie zostali pobici.

Napoleon, nie chcąc być otoczony, począł cofać się do Drezna. Tu odniósł wprawdzie świetne zwycięstwo, lecz zagrożone przez nieprzyjaciół tyły własnej armii, zdrada wśród dotychczasowych jego sojuszników, zmuszały go do dalszego odwrotu na

Lipsk. Wtedy smutek zapanował wśród wojsk polskich, ponieważ jasno widziano, że już o marszu cesarza na Księstwo Warszawskie i o jego wyzwoleniu mowy być nie może. Mimo to postanowiono przy sztandarze wytrwać stale, a najlepszy przykład tego dawał sam wódz polski. O nim to tak pisze jeden ze współczesnych: »Ks. Józef, ile w boju mężny, w wytrwałości moralnej coraz się wyższym okazywał. Charakter duszy jego w miarę przeciwności udoskonalał się, jędrniał, postawa jego zawsze hoża, polska, elegancka, stawała się poważna i szacunek nakazująca. Trudnoby opisać, jak powszechne wzbudzał w swoich sprzymierzeńcach, nieprzyjaciółach nawet uwielbienie. Tam zwłaszcza, gdzie on sam wojsko prowadził, krajowcy mieli w nim opiekuna, anioła stróża od wszelkiej krzywdy. Cóż z tego, kiedy to bohaterskie, tyle rzewne, z wszech względów tak piękne chwile, były owym przedśmiertnym łabędzim śpiewem«.

Bo oto księżę szybko zbliżał się do kresu swego życia. Już 12 października w małym starciu z nieprzyjacielem został ranny lekko w rękę piłą kozacką, a w cztery dni potem trafiony był kulą karabinową. Nie zważał na te rany księżę, ponieważ w bitwach, które się teraz rozpoczynały, ważył się los całej wojny. Sprzymierzeni wszystkimi siłami zdążali za Napoleonem i otoczyli go zwartym, żelaznym wałem pod murami Lipska. Zażarta walka rozpoczęła się pod tem miastem 16 października. Cesarz również pospiesznie gotował się do odparcia wroga. W nagrodę zasług, jakie poniósł ks. Jó-

zef, walcząc ustawicznie w ciągu tej wojny z przemagającymi siłami nieprzyjaciela i zawsze chlubnie męstwem osobistem i talentami wodza odznaczając się, nadał mu Napoleon w przeddzień tych rozstrzygających bojów najwyższą godność wojskową, jakiej nie piastował dotąd żaden cudzoziemiec, t. j. stopień marszałka. To wyróżnienie wodza polskiego znalazło wśród wojsk francuskich jaknajlepsze przyjęcie. Inaczej było z wojskiem polskim. Tam wywołało ono szemranie i niezadowolenie. Obawiano się bowiem, że Napoleon w ten jedynie sposób chce odplacić się Polakom za stracony byt samoistny, za odebrane już Księstwo Warszawskie, za przelaną tak hojnie krew. Sam Poniatowski, choć wysoko cenił to nadzwyczajne odznaczenie, wyżej jednakże stawiał swoje dotychczasowe stanowisko: naczelnika Polaków. Z tego powodu do otoczenia miał się w ten sposób wyrazić: »Mości Panowie! Cesarz wyniósł mnie na stopień dla mnie pochlebny, jednak zaszczyt Naczelnika polskiego wojska nad wszystko przenoszę«. W razie niemożności walczenia dla ojczyzny obiecał raczej mundur zrzucić i żyć w zaciszu domowym, aniżeli służyć obcej sprawie. Używał też do końca swego życia tylko tytułu naczelnego wodza wojska polskiego, nigdy zaś marszałka francuskiego.

Po zaciętych bojach, stoczonych dnia 16 października, które nie rozstrzygnęły jeszcze walki, nastąpił jednodniowy wypoczynek. 18 znowu rozpoczęła się zażarta walka na całej linii, znowu, jak poprzednia, nierozstrzygnięta. Pod wieczór je-

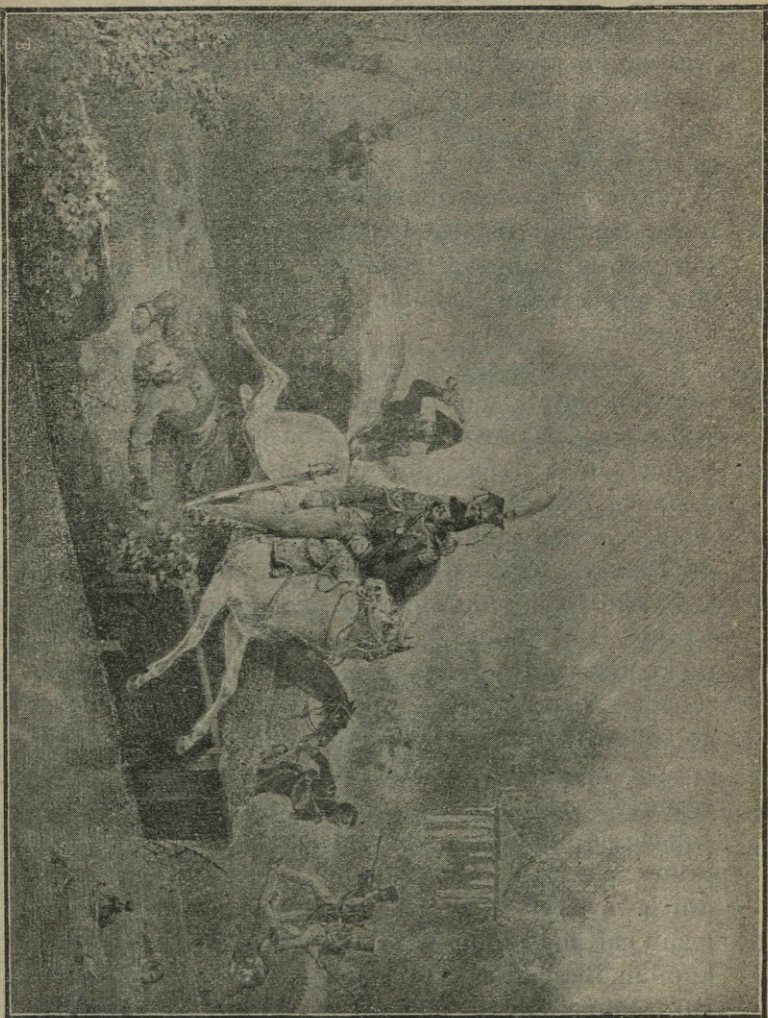
dnak Napoleon, który widział brak nabojów armatnich, wobec przeważającej znacznie liczby nieprzyjaciół, nakazał odwrót. Straż tylną całej armii mieli, jak zwykle, stanowić Polacy pod swym bohaterskim wodzem ks. Józefem. Mieli oni bronić Lipska, dopóki się tylko da, a następnie połączyć się z resztą wojsk francuskich.

Poniatowski otrzymał ten rozkaz z ust cesarskich 19 rano, wtedy, kiedy już przeważna część jego korpusu przeprowała się z innymi oddziałami na drugą stronę płynącej pod Lipskiem Elstery, tak, że księżę miał pod swoimi rozkazami ledwo 800 ludzi z pułku Krakusów i kirasyerów. Gdy więc przedstawił cesarzowi szczupłość sił swoich, Napoleon odpowiedział: »Ośmset walecznych więcej znaczą niż ośm tysięcy«.

Pozostał więc księżę na najniebezpieczniejszem stanowisku. Nieprzyjaciel wkrótce począł coraz silniej następować ze wszystkich stron. Poniatowski wtedy, dobywszy szabli, stanął na czele swego oddziału, przemówił do żołnierzy krótko: »Dalej dzieci, lepiej zginąć, jak na Polaków przystoi, aniżeli żyć nikczemnie!«, a następnie rzucił się na wroga, odparł go, przyczem znowu otrzymał ranę. Lecz siły jego były za słabe, by tym tysiącom módz stawić skuteczny opór. Nie było wkońcu innej rady, jak podążyć za całą armią, zwłaszcza, że już drogę, którą przechodziły wojska francuskie, zajmowały pułki sprzymierzonych i mogły łatwo odciąć odwrót oddziałowi polskiemu.

Księżę więc, spełniwszy swoje zadanie, skierował się ku rzece Elsterze, przez którą w nocy przepłynęła się armia napoleońska. Po drodze namawiał go jeden z przyjaciół, by się nie narażał na dalszą walkę, by raczej się poddał. Księżę odmówił. Wycieńczony otrzymanymi ranami, nieprzespaną nocą, trudami ostatnich bojów, w których walczył jak prosty żołnierz, przecież nie upadł na duchu, przykładem bohaterskiej odwagi przyświecał wszystkim.

Na nieszczęście jedyny most, którym się przepływała armia napoleońska, został przedwcześnie wysadzony w powietrze. Trzeba było wpław przepłynąć dwie rzeki, mianowicie naprzód Pleissę, a potem Elsterę. Już tylko na pół przytomny, mówił: »Trzeba umrzeć mężnie«, rzucił się z koniem do Pleissy, którą ledwo z wielkim trudem przepłynął. W dalszym ciągu pieszo przedostawał się przez ogrody, zapełnione już wojskiem rosyjskim, do rzeki Elstery. Po drodze znowu został raniony kulą w bok. Nieprzytomny upadł na ręce otaczających go oficerów. Z trudem oprzytomniawszy, wsiadł znowu na podanego mu konia i rzucił się z nim w nurty wezbranej rzeki, skoro tylko zobaczył zbliżającą się piechotę nieprzyjacielską. W czasie przeprawy otrzymał piątą ranę od kuli, która przeszła mu lewą pierś na wylot. Wtedy osunął się z konia i zniknął pod wodą, a z nim razem i adjutant jego kapitan Blechamps, który mu pospieszył z pomocą. Do ostatniej chwili, nawpół przytomny, w gorączce, ranny, mówił słowa niewyraźne o Polsce i o ho-



Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

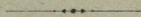
Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

norze. Powtarzał słowa: »Trzeba umrzeć dzielnie!«. Powtarzał to, co było zasadniczą, przewodnią myślą jego życia, od czego na krok nie odstąpił, czemu się wśród rozlicznych pokus życiowych na chwilę nawet nie sprzeniewierzył.

Ciało księcia wydobyli rybacy 24 października pod wieczór. Po rozpoznaniu zwłok pochowano je uroczyście wśród grzmotu dział w Lipsku, w krypcie przy kościele św. Jana na przedmieściu Grimma. Następnego roku powracające z Francji wojska polskie zabrały te ziemskie szczątki kochanego wodza do Warszawy, skąd znowu w trzy lata później, w lipcu 1817 przeniesione zostały z honorami wojskowymi na Wawel i złożone w grobach królewskich.

Chociaż bowiem księżę nie dźmierzył za żywota swojej władzy królewskiej, wdzięczny naród umieścił doczesne szczątki swojego wodza razem ze zwłokami dawnych władców. Bo cały naród czuł to samo, co i Napoleon, ten znakomity wódz i znawca ludzi, który w lat parę potem tak pisał o księciu: »Poniatowski był prawdziwym królem. Łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty, a jednak on zmilczał«. On nie słowami, lecz czynami dowiódł swej królewskości. Pracą, częstem zaparciem się siebie, dobrocią, wyrozumiałością, męstwem, wreszcie ofiarną śmiercią stwierdził, że choć sam nie król, to jednak godny jest spocząć w grobowcach królewskich. Wszystkie marzenia, wszystkie pragnienia swoje poniósł z sobą do zimnego i mil-

czącego na zawsze grobu. Bo nie o cześć tytuły mu chodziło, ale o dobro i zbawienie sprawy ojczy-
stej. Dla niej to poświęcał interes osobisty, dla
niej to pracował, ponosił ciężkie trudy, niewygody,
rany, dla niej też, walcząc do ostatniego tchu, chwa-
leбно i z honorem zginął.



2498

2) Wydawnictwa „Macierzy Polskiej“:

	K. h.
Nr. 20. Królowa Korony polskiej , żywot Najświętszej Maryi Panny, napisał Wład. Belza, z 11 ryc. (3. wyd.)	— 30
• 23 O budowie zagród włościańskich , napisał Maciej Moraczewski, c. k. radca budown., z rycinami (2. wyd.)	— 40
• 40. Pan Tadeusz Adama Mickiewicza, broszur.—20 wopr.	— 60
• 41. O hetmanie Żółkiewskim , napisał F. Papée (3 wyd.)	— 20
• 50. O Stefanie Czarnieckim . Nap. W. Czermak. (3 wyd.)	— 25
• 52. Uprawa roślin pastewnych, zielnych , napisał Wład. Szybicki	— 72
• 60. Rady dla utrzymujących buhaje rozplodowe, o buhajach gminnych i o pożyczkach na buhaje gminne wraz ze zbiorem przepisów hodowlanych (wyd. 3.)	— 30
• 64. Pogadanki o hodowli ryb , napisał J. Mielnicki	— 20
• 65. Spiewy historyczne J. U. Niemcewicza, z 35 ilustracyami St. Dębickiego, broszur.	1 —
W oprawie płóciennej	1 30
• 69. Encyklopedia. Zbiór wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy. Wydanie drugie pomnożone i ilustrowane w dwóch tomach. Cena w oprawie	10 —
• 70. Pisma poetyczne Adama Mickiewicza, broszur.	— 30
W oprawie	— 60
• 71. O życiu i pismach Adama Mickiewicza. Napisał Cz. Pieniążek (wyd. 2)	— 20
• 74. Jubileusz czyli lato miłośnicwe , nap. ks. W. Puchalski	— 40
• 77. O Maryi Konopnickiej , napisał Dr. K. Falkiewicz	— 20
• 81. Dobry syn , bajka z przed lat tysiąca, napisał Wł. Belza, z 10 rysunkami S. Dębickiego. Brosz.	— 40
Karton.	— 70
• 85. Obrona Częstochowy , nap. Fr. Jaworski. Z 4 ryc.	— 15
• 86. Wybór win owocowych i powideł , nap. Fr. (2 wyd.)	— 40
• 87. Drobne gospodarstwo wiejskie , napisał A. Sniegocki	1 20
W oprawie	1 70
• 88. Z żołnierki na Kaukazie. Opow. I. Ciembroniewicz	— 30
• 89. Pod trzeciego króla , napisał Jakób Bojko z rycin.	— 40
• 90. Opowiadania rozmaite , przez K. Królińskiego	— 40
• 92. Za naszą i waszą wolność , nap. Jadwiga Strokowa	— 50
• 93. Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka. Z przeszłości Gródka Jagiellońskiego, nap. F. Jaworski	— 40
• 94. Księgi gruntowe . Nap. Józef Wilusz	— 20
• 96. O Komasacyi gruntów . Napisał Bolesław Gurski. Z dwoma mapkami	— 40
• 98. Ku czci królowej Jadwigi. Dwa obrazki sceniczne: Królowa Jadwiga przez B. Żulińską i Opiekunka sierót przez J. Jaworską	40
• 100. Nowy projekt ustawy o ubezpieczeniu społecznem. Nap. Dr. E. Dubanowicz	— 10

Przy zamawianiu wystarczy podać numer porządkowy i ilość żądanych egzemplarzy, adresując:

Biuro „Macierzy Polskiej“, Lwów Gmach Sejmowy.

3) BIBLIOTEKA „MACIERZY POLSKIEJ“

obejmując rocznie kilka tomów, razem około 50 arkuszy druku, z następujących czterech działów

I. Dział praktyczny i gospodarski. — II. Dział historyczny.

III. Dział przyrodniczy i krajoznawczy. — IV. Dział rozrywkowy

Można nabywać w drodze przedpłaty, która wynosi calorocznie dwie korony. Nabywać można także z osobna.

	kor. h.
Nr. 17. Nad Niemnem, powieść Orzeszkowej (wyd. II) . . .	1 —
• 20. Jan Kiliński, przez Dra Nitmana (II wyd.) . . .	— 30
• 27. Kilka rad praktycznych dla teatrów amatorskich. Napisal Smotrycki (wyd. II.) . . .	— 30
• 36. Spłacony dług, powieść z r. 1831. Nap. W. Szalay. . .	1 20
• 39. Choroby zakaźne. Opisał Dr. S. Domański . . .	1 —
• 40. Kazimierz Brodziński. Nap. J. Ciembroniewicz (z 3 ryc.) . . .	— 40
• 41. Zbiór powieści i gawęd. Ułoż. Dr. Fr. Krezek (z 10 ryc.) . . .	— 50
• 42. Wiersze, piosnki. Napisal Jantek z Bugaja . . .	1 —
• 43. O weselu St. Wyspiańskiego, napisała Kosmoska . . .	— 20
• 44. Powietrze ze stanowiska chemii i higieny nap. B. D. . .	— 70
• 45. Juliusz Stowacki. Żywot i wybór pism, przez Dra K. Wojciechowskiego. Z 10 ryc. w brosz. 1 ^o . — W opr. . .	1 50
• 47. O Wł. L. Anczycu. Napisal Jan Magiera . . .	— 40
• 49. Rodzinny dom. Napisala Jadwiga z Łobzowa . . .	— 80
• 50. Śląsk cieszyński i jego odrodzenie, nap. St. Warcholik . . .	— 50
• 51. Wiązanka z chłopskiej niwy, poezye Ferd. Kurasia . . .	— 50
• 52. Z walk tatarskich, napisal M. Niedźwiecki . . .	— 30
• 54. O kometach i komecie Halleya. Nap. M. Ernst . . .	— 30
• 55. Dziesięć lat niewoli moskiewskiej, op. Ciembroniewicz . . .	— 50
• 56. Wybór poezyi Kasprowicza z portretem . . .	— 60
• 57. O Zyguncie Krasieńskim. Nap. Dr. K. Wojciechowski . . .	— 70
• 58. Astronomia popularna. Nap. Dr. M. Ernst . . .	1 20
• 59. Perekińczyk. Napisal A. Powala . . .	— 30
• 60. Z życia zwierząt. I. Nap. J. Ciembroniewicz . . .	— 70
• 61. Melsztyn i jego okolice nap. Marya Sandoz, z ryc. . .	— 80
• 62. Jasełka nap. W. Szalayówna . . .	— 40
• 63. Z odległej przeszłości skieślił W. Belza . . .	— 40
• 64. Oszczędna gosposia przez J. Albinowska . . .	1 80
• 65. Czytanka dla służących staraniem Koła Pań T. S. L. . . .	2 —
• 66. Ogród warzywny. Nap. Józef Froń . . .	1 —
• 67. Za gwiazdą zwodniczą Nap. W. Szalay . . .	1 —
• 68. Przez Syberyę, Mandżuryę i Japonię do brzegów Oceanu Spokojnego. Nap. J. Tokarski . . .	1 —
• 69. Dzieje odkryć geograficznych, nap. Dr. M. Gawlik . . .	1 20
• 70. Wspomnienia żołnierza-tufacza (1848—1863). Nap. Pankracy Wodziński . . .	— 50
• 71. Pszczelnictwo. Napisal ks. Godzień . . .	— 50
• 72. Z życia zwierząt II. Nap. J. Ciembroniewicz . . .	1 —
• 73. Napoje alkoholowe. Nap. B. Duchowicz . . .	— 50
• 74. Rok 1812, przez A. M. Skalkowskiego . . .	1 30
• 75. J. I. Kraszewski. Nap. Dr. Piekarski . . .	2 —
• 76. Przez Pogrom. Nap. A. St. Bassara . . .	1 —
• 77. Obrazki polskie przez W. Studnicką . . .	1 —
• 78. Krwawe dzieje, opowiedziała Mossoczowa . . .	— 40
• 79. Dzieje odkryć geograficznych II nap. Dr. M. Gawlik . . .	1 50
• 80. Wspomnienia z powstania 1863 r spisał K. Zielonka . . .	1 50
• 81. Kim był Karol Marcinkowski? nap. Helena Rzepecka . . .	1 —
• 82. Bolesław Prus, nap. Konstanty Wojciechowski . . .	1 50



65861

/1